MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 1. WARSZAWA, 5 STYCZNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

SIŁA i SŁABOŚĆ USTROJU

W DOBIE przemian i przewrotów, którym podlegają ustroje państw, poszukiwania nowych form państwowego bytu a upadku dawnych jego podstaw, wysuwa się na czoło pytanie: jakim pierwiastkom może naród zawdzięczać trwałość swojej formy zewnętrznej, jak zdoła utrzymać ustrój państwowy i uchronić go od niszczącej zmienności?

Szuka się powszechnie nowych form ustroju państwa. Zjawiło się wielu jego reformatorów. Ale nieraz wydaje im się, że to zagadnienie da się sprowadzić do jakiegoś kunsztownego pomysłu organizacji władzy, że można zrobić jakiś wynalazek ustrojowy. Jednakże nie rozstrzygnie się tej sprawy tą lub inną formułą. Nie można do tych zagadnień przystąpić odrazu, bez rozważenia podstaw, na których w dzisiejszej epoce może się oprzeć trwałość ustroju. Bez szerokiego tła porównawczego z jednej strony, a z drugiej bez głębokiej znajomości narodu, któremu chce się dać ustrój, — znajomości jego charakteru, psychiki zbiorowej i t. d., wszelkie pomysły ustrojowe będą tylko szkolnemi wypracowaniami.

Spojrzyjmy na to zagadnienie w perspektywie dziejowej. Ona nam powie przedewszystkiem, na czem w dzisiejszej dobie nie może się opierać trwałość ustroju. Okaże się najpierw, że tym jego fundamentem nie może być uświęcona dynastja.

Nie wynika z tego, by nie był możliwy ustrój monarchiczny. W ostatnich latach monarchja okazuje w Europie dużą żywotność. Niektóre kraje przechodzą od dyktatury do monarchji. Ale czem może być dzisiaj monarchja? Symbolem jedności państwa, wyrazem najogólniejszych uczuć narodu, czynnikiem, który stoi ponad zmiennością rządów i walkami wewnętrznemi. Dzisiejsza monarchja godzi się zarówno z demokracją parlamentarną, jak i z dyktaturą. W Wielkiej Brytanji monarchja jest mocno zakorzeniona, ale i faszyzm nie usunął monarchji, lecz wplótł ją w swój system. We Włoszech monarchja, mimo potężnej postaci Mussoliniego, nie straciła swojego znaczenia, a bodaj że jej potencjalna waga, na wypadek gdyby zabrakło Mussoliniego, jest bardzo wielka.

Inaczej mówiąc, w dzisiejszych warunkach całego ustroju państwa nie można sprowadzać do pierwiastka dynastycznego; tam, gdzie jest dynastja, lub nawet tam, gdzie jej niema, a jej wprowadzenie mogłoby być użyteczne, muszą istnieć inne jeszcze pierwiastki ustrojowe. Dziś niema monarchów z bożej łaski, którzyby mogli sami o wszystkiem decydować; uczucia monarchiczne są wtedy silne, gdy monarcha stoi wysoko ponad rozgwarem dnia powszedniego; ale naród nie przyjmowałby z pokorą wszystkich dekretów monarchy, regulujących jego życie, jak to było w tych czasach, gdy nikt nie śmiał podawać w wątpliwość jego woli.

Wogóle minęły już czasy, w których można było rządzić, korzystając z tego, że masa społeczeństwa nie interesuje się rządami i nie marzy o tem, by wywierać jakikolwiek wpływ na nie. W starożytnym Egipcie sztuka rządzenia była tajemnicą kasty kapłańskiej. W średnich wiekach ścisłe kadry ustroju feudalnego oddzielały od siebie poszczególne warstwy społeczne; im niżej schodziło się wdół po drabinie feudalnej, tem było dalej od źródła władzy w państwie i odpowiedzialności za nią. Bardziej pierwotne warunki komunikacyjne i warunki kultury materjalnej sprzyjały temu, by masy społeczeństwa żyły swojem własnem, wąskiem życiem, by zamykało się ono w granicach wsi lub miasta, a nie było szerszych zainteresowań i walk o całość władzy w państwie.

Dziś jest inaczej. Dzisiaj wszelkie rządy, jak tylko je nazwiemy, w pewnem tego wyrazu znaczeniu są demokratyczne. To znaczy, że bez względu na organizację władzy, system prawa wyborczego lub nawet brak tego prawa, muszą opierać się na uczuciach i świadomości masy narodu, na jej przekonaniu. Nie muszą to być rządy mechanicznej większości; ale muszą mieć za sobą przynajmniej zorganizowaną, czynną politycznie i społecznie mniejszość, i to mniejszość bardzo poważną.

Grupa rządząca nie utrzyma się dzisiaj samemi tylko narzędziami represyj; nie wystarczy jej pieniądz, rozdawnictwo posad, wywiad, policja i kryminał. Usiłuje zawsze znaleźć oddźwięk w nastrojach najszerszych warstw narodu, chce pozyskać ich wiarę i zaufanie. Zawiesza się działalność instytucyj reprezentacyjnych lub je wogóle znosi, ale równocześnie wydaje się olbrzymie sumy na propagandę, tworzy jej masową organizację.

Każdy ustrój państwowy, każdy system rządzenia, jeżeli ma się utrzymać, musi tą lub inną drogą trafić do narodu; koło jego zwolenników nie może się ograniczyć do janczarów i elity. W jaki sposób ten cel się osiąga?

Różne wiodą do niego drogi. Grupa rządząca wybiera czasem drogę najprostszą: stara się pozyskać masy przez zabezpieczenie im dobrobytu. Obiecuje poprawę ciężkiego położenia gospodarczego, robi różne wysiłki, by polepszyć rozdział dochodu społecznego. Większość ludzi niewątpliwie w zwyczajnych, pospolitych czasach ocenia rząd według materjalnych efektów jego działalności. Wówczas na rachunek rządu a także i reprezentowanego przez niego systemu rządzenia idą wszelkie dobre i złe zmiany w gospodarstwie. Czasami rządy autorytatywne czy dyktatorskie liczą na to, że energja społeczna zwróci się ku gospodarstwu, ku bogaceniu się, a czynne żywioły społeczne przestaną zajmować się „polityką", w której zawsze jest sporo materjału wybuchowego. Wówczas materjalistyczna „bezpartyjność" staje się niejako ideologją całego systemu. Tak było za rządów dyktatorskich Napoleona III; a zresztą czy potrzebujemy szukać tego względnie odległego przykładu?

Ta metoda jednak jest szczególnie zawodna w dzisiejszych czasach. Trudno mówić ludziom: „wzbogacajcie się!" gdy miljony ludzi są bez pracy. Mdły solidaryzm gospodarczy nikogo nie pociągnie, a w samych pierwiastkach materjalnych dzisiaj żaden ustrój nie znajdzie źródła żywotnej siły. Wysunięcie na naczelne miejsce tylko czynnika gospodarczego nie prowadzi do solidarności społecznej, lecz do wzrostu antagonizmów społecznych, bodaj-że nawet do komunizmu.

W obecnej epoce dziejowej narody muszą objawić dużą wytrzymałość na biedę, okazać sporo abnegacji, objawić zdolność rezygnowania z różnych „zdobyczy", któremi szafowano lekkomyślnie. A walka o lepszy byt gospodarczy wymaga czasu; nie uzyska się w tej dziedzinie zwycięstwa przez jakąś radosną rewolucję lub genjalny plan rozwiązywania trudności gospodarczych bez pieniądza i bez podatków. Zawiedzie się ten, kto apeluje przedewszystkiem do pustych lub pełnych żołądków; tylko ten ustrój się utrzyma, który znalazł klucz do duszy narodu.

Trwałość ustrojów trzeba oceniać wielkością i zasięgiem idej, które one reprezentują. Forma ustroju, jego typ zewnętrzny, jakkolwiek nie jest bez znaczenia, nie rozstrzyga bynajmniej w ostatniej instancji. W ustroju muszą się wcielić wielkie ideje narodowe; ten ustrój jest trwały, który najlepiej urzeczywistnia misję dziejową narodu, przed jego masami stawia wielki cel, o dużej dziejowej rozpiętości. Idea ta musi jednem swem skrzydłem uderzać o odległą nawet przeszłość narodu, a drugiem o daleką jego przyszłość. Musi nieść z sobą coś więcej, niż chleb powszedni; budzić w narodzie ducha godności, honoru, poświęcenia i dumy.

Czy te ideje mogą się wcielić w genjalną jednostkę, w dyktatora, wodza narodu i czy wówczas, dzięki jego kierowniczej woli, nie znajdują pełni urzeczywistnienia? Może to się zdarzyć i zdarza się czasami. Ale dyktator, to fakt historyczny, a nie trwały ustrój państwa. Istnieją wielcy dyktatorzy, ale i mali dyktatorzy, którzy wprawiają w ruch metody dyktatorskiego rządzenia, jednak w swe rządy nie wkładają wielkiej treści. Olbrzymi rozpęd, który może nadać narodowi wielki dyktator, trzeba okupić tem, że ten dyktator nie zostawia po sobie wielkich następców, a przeciwnie, zostawia zazwyczaj w swem otoczeniu małych ludzi, nieprzywykłych do samodzielnego myślenia, nieogarniających całości.

Nie może się w żadnym razie utrzymać jakiś pseudo-system dyktatury bez dyktatora. Grupa rządząca, jeżeli niema na czele osoby, wywierającej magnetyczny wpływ, a zarazem niema idei, któraby porywała naród, skazana jest na upadek. A pozatem żaden system rządzenia nie może się utrzymać, jeżeli swych przewodnich idej nie potrafi wcielić w trwałe instytucje narodowe, trwalsze od zmian rządów, przewrotów politycznych, kryzysów gospodarczych, trwalsze nawet od zmienności pokoleń.

A więc o powodzeniu ustrojów państwowych rozstrzyga ich treść wewnętrzna, a nie forma; idea, która wprawia w ruch mechanizm państwa i całe życie narodu, a nie doskonałość czy precyzyjność tego mechanizmu, który czasem w najbardziej pomysłowy sposób chce zabezpieczyć swoje funkcjonowanie bez wstrząśnień.

Kto chce budować ustrój państwa, niechaj zaczyna od fundamentów, a nie od fasady. Niech zacznie od odczucia i zrozumienia charakteru narodu, jego zbiorowej psychiki, niechaj ustali, co w tej psychice można zmienić, a co trzeba przyjąć jako konieczne założenie. Niechaj przedewszystkiem uświadomi sobie wielkie ideje, które mają kierować życiem całego narodu. Bez tego wszelkie budownictwo ustrojowe — to wznoszenie domków z piasku, to powiększanie chaosu ustrojowego.

ROMAN RYBARSKI

GENERAŁ—KLASYK

ZYGMUNT WASILEWSKI wydał w stulecie powstania listopadowego książkę p. t. „Wnukom o prapradziadku" (Warszawa, 1930), Autor zawarł w niej biografję historyczną na tle epoki oraz wizerunek duchowy swego dziadka, Józefa Wasilewskiego, ucznia Szkoły Rycerskiej.

Wychowany był zaprawdę na żołnierza. Czasy niezwykłe i pełne wojen ujawniły cnotę obywatelską i męstwo generała Wasilewskiego najpierw w Legjonach pod Dąbrowskim, potem w wojnie o Gdańsk za Księstwa, wreszcie w roku przełomowym 1812. Książka Zygmunta Wasilewskiego, jakże głęboka i trafna w kulcie rodzinnym, posiada znaczenie o wiele ogólniejsze. Czytajmy słowa autora: „Zaciekawił mnie (Józef Wasilewski) jako gatunek Polaka w formacji przejściowej między szlachcicem XVIII-go wieku pokroju kontuszowo-sejmikowego a Polakiem XIX wieku, romanty-

kiem, poczynającym dzieje nowoczesne od uświadomień narodowych typu uczuciowego. Postać Wasilewskiego i jego najbliższych towarzyszy odrzyna mi się z obu stron dziejowych jako należąca do szkoły klasycznej" (s. 15).

Klasyk w życiu i działaniu wojennem pozostał klasykiem w słowie. Z listów dochowanych widać jasno, że piórem władał jak bronią: sprawnie i biegle nad podziw, z wielką oszczędnością zdania, z całkowitem opanowoniem uczucia. Poza garścią listów, niepomnożoną dotąd przez badania archiwalne, nie zostawił nic potomnym. Pamiętnik (jak dobrze mógłby być napisany pamiętnik gen. Wasilewskiego!) napisany nie został. Tradycja rodzinna utrzymuje wprawdzie, że generał pracował nad pamiętnikiem w dalekim Tambowie, ujęty w niewolę roku 1812, ale rękopisu nie dało się odnaleść (*ib.* s. 131).

Natomiast służyć możemy autorowi biografji nieznanym mu faktem z czasów młodości generała.

Otóż natknęliśmy się na *iuvenilia* pisarskie Wasilewskiego, określające jego kulturę literacką ku schyłkowi lat szkolnych, oddalonych niejednym zakrętem drogi od świetnego generalstwa. Józef Wasilewski ujrzał się w druku po ukończeniu szkoły rycerskiej, jako mianowany świeżo chorąży, w r. 1783. Debiut literacki Wasilewskiego łączy się ciekawie z historją polską klasyka-moralisty z północnej Italji, Korneljusza Neposa.

Korneljusz Nepos, literat raczej przeciętny i umysłu pospolitego, wyraził jednak dobrze *virtus* starożytną w sensie zarówno wzniosłym, jak potocznym. To też pisma historyczne Neposa, chętnie moralizujące, stały się po śmierci autora instrumentem pedagogji wszelkich czasów i narodów. Rzeczpospolita Polska, nawiązująca w sposób różnorodny do dziedzictwa kultury starożytnej, poznała wcześnie teksty Neposa w oryginale łacińskim. Już w r. 1533 wydał u Unglera w Kraóowie życie Pomponjusza Attyka w wersji Neposowej profesor jagielloński i znakomity humanista Benedykt z Koźmina. Programy lektury szkolnej, która młodzież szlachecką zaprawiała w erudycji klasycznej, Neposa utrzymują stale w wieku XVII i XVIII. Upodobali go jezuici, ale nadewszystko (jeszcze w w. XIX) pijarzy, tłoczący szereg wydań popularnego autora w drukarniach własnych. Prócz Neposa autentycznego zyskały bodaj miejsce w lekturze szkolnej XVIII w. także teksty apokryficzne (głośny poemat *de bello Troiano*) [1]). Tak więc w formacji kulturalnej społeczeństwa szlacheckiego rola dziełek Neposowych, znana dotąd jedynie ze spisów bibliograficznych, urasta do znaczenia zjawisk wybitniejszych.

Ku schyłkowi Rzeczypospolitej, w drugiej połowie w. XVIII, autor starożytny, zarówno prozaik jak poeta, poczyna tracić kontakt z czytelnikiem polskim: coraz bardziej staje się niezrozumiały w obcem, łacińskiem słowie, coraz częściej przebierać go trzeba w strój nowy Sarmatów, którzy zaniedbali łaciny. Ożywiony ten ruch tłumacki, ogarniający wszelkie środowiska szkolne, spostrzegamy nadewszystko na Litwie (Wilno), kształconej żwawo i pośpiesznie. Wielu pisarzy rzymskich ujrzało się po raz pierwszy w kadencji, niezawsze swobodnej, polskiej składni. Wśród innych właśnie Korneljusz Nepos, czytany w drugiej klasie gramatyki jezuickich kolegjów szlacheckich, i tłumaczony na język polski w najwyższej klasie gramatyki [2]).

Na owe też lata przypada działalność pisarska ks. Jana Wulfersa. Historycy epoki nie wiedzą o nim zbyt wiele. Pochodzi z Warszawy. Urodzony w r. 1739, wstępuje do zakonu Jezuitów, po kasacie mówi o sobie często: „niegdyś jezuita". Wiadomo, że czas jakiś przebywa w Królewcu (na studjach?). Lata gorliwej pracy nauczycielskiej zwiążą ks. Wulfersa ze Szkołą Rycerską w Warszawie. Objąwszy w korpusie kadetów miejsce po Nagórczewskim, wykłada od r. 1778 historję i literaturę polską. Zna języki: łaciński, francuski i niemiecki, prócz ojczystego. Od wiosny r. 1779 przez lat trzy spełnia do r. 1782 obowiązki bibliotekarza Szkoły Rycerskiej, ujawniając dużą dbałość o sprawy książki. Pomnaża szczególnie działy geografji, historji politycznej [3]). Lata pracy w korpusie zbliżyły go do króla (wypisał mu raz „mnogie kadzidła") oraz do innych protektorów szkoły: ks. Czartoryskiego, Moszyńskiego, Woyny. W r. 1787 pisze Wulfers o sobie: ex-profesor literatury i historji polskiej w korpusie kadetów IKM-ci. Jego życie późniejsze wiąże się w sposób znany niedokładnie z pomocą dobroczynną Fr. X. Woyny.

Z niewielu tych danych wyzierają pospolite rysy erudyty i zakonnika. Ale tylko napozór. Jan Wulfers, ostatni z pokolenia księży starego ładu, surowy pedant i rygorysta, pracę pedagogiczną prowadzi z całkowitem zrozumieniem dobra społecznego. Uprawia kult książki. Jego związki ze środowiskiem królewieckiem zaciekawiają osobliwie. Pasja umysłowa, której ulega ten profesor i bibliotekarz, wyraża się najpełniej w studjach nad piśmiennictwem łacińskiem. Ks. Wulfers tłumaczy autorów. Wyraźnie przenosząc prozę nad poezję, upodobał szczególnie historjografję rzymską. Ów „niegdyś jezuita" rozwija i pielęgnuje w warszawskiej Szkole Rycerskiej cnotę żołnierską starożytności. Pojęcia moralne Rzymu, zachowane w wersji piśmienniczej, przybliża Ichmościom Panom Kadetom na tekstach odległych Korneljusza Neposa i Tytusa Liwjusza. Leżą przed nami świadectwa drukowane tej pracy: „Życia wybornych hetmanów" czyli *De exellentibus ducibus ex terrarum gentium* Korneljusza Neposa, tom zbiorowy przekładów uczniów ks. Wulfersa z klasy VII literatury, wydany zabiegami i pod opieką profesora (Warszawa 1783); dalej „Mowy z Liwjusza z pochopami do nich i skutkami onychże... wybrane i wytłumaczone" na lekcjach klasy V korpusu, ogłoszone drukiem jako tom I (Warszawa 1784) — niestety, „dla pewnych okoliczności" — jak później odczytamy — „nieco zawieszony"; zaczem, już na zakończenie tej łacińskiej serji, „Mowy z Kurcjusza" (Warszawa 1787), wytłumaczone niegdyś „dla wygody uczniów". Rozglądamy ciekawi tę literaturę, pochodzącą z korpusu, zadziwieni charakterem i znaczeniem adaptacji starożytnej, jako narzędzia pedagogji wojskowej XVIII w.

Nepos w wydaniu ks. Wulfersa był pierwszym polskim przekładem dzieła. Tłumacz retoryki Kurcjusza Rufusa miał poprzednika w przekładzie ks. Wargockiego, sięgającym poprzedniego stulecia (1614). Jan Wulfers, wyszedłszy z dobrej szkoły

---

[1]) Krzyżanowski: „Romans pseudohistoryczny w Polsce wieku XVI". Kraków, 1926, s. 99.

[2]) Ks: „Bednarski, Upadek i odrodzenie szkół jezuickich w Polsce". Kraków, 1933, s. 461—462.

[3]) M. Łodyński: „Bibljoteka Szkoły Rycerskiej". Warszawa, 1930, s. 49—50, 52—53, 54.

filologicznej, poddał surowej ocenie pracę konfratra: znalazł „wiele w nim zastarzałych wyrazów i myśli nawet autora czasem chybione". Dla tych też powodów żądał od Wulfersa nowego przekładu sam książę-komendant.

Tak właśnie pospolity rysunek postaci ks. Wulfersa, zakonnika i erudyty, uzyskał wymiar nowy i nieoczekiwany.

Józef Wasilewski, do którego w tej gawędzie możemy wreszcie powrócić, od r. 1775 wychowanek Korpusu, spotkał się z Wulfersem — jeśli nie myli rachuba — na progu klasy IV. Tomik in 8° Korneljusza Neposa, owe „Życia wybornych hetmanów przekładania Ichmość Panów Kadetów", wydany staraniem Wulfersa, przyniósł Wasilewskiemu szkolny laur literacki: w gronie niewielu kolegów wytłoczył jego nazwisko piękną kursywą „Regestr życiów i tłumaczów".

Genezę tej książeczki znamy wcale dokładnie. Przekład Neposa zalecał Wulfersowi Książę-generał ziem podolskich, rozumiejąc użyteczność autora dla niższych klas korpusu. Dokonała pracy klasa VII w roku szkolnym 1781 — 82 „z ochoty nadpowinnej". Przekład ofiarowano w druku wymownem piórem ks. Wulfersa prześwietnej Komisji Edukacji narodowej: „siódma klasa miała to sobie za powinność".. Zamierzało spełnić wydawnictwo rolę pomocy naukowej przy nauczaniu łaciny; już w przedmowie dedykacyjnej przeznaczono „tę błahą pracę na powszechny szkół pożytek". Tłumaczenie tekstu wyraźne i parokrotne świadectwo ks. Wulfersa przypisuje „JPP. Kadetom siódmej klasy literatury". Bałamutnie zatem biskup Albertrandi (wedle słów Johera) „mieni tłomaczem samego dzieła tegoż X. Wulfersa". Z pod ręki nauczycielskiej prócz dedykacji i przedmowy do czytelnika wyszedł jedynie zarys biograficzny „O życiu i pismach samegoż Korneljusza Neposa", dobrze świadczący o stanie wiedzy filologicznej podówczas w Polsce, oraz „Wypis chronologiczny" z historji starożytnej, użyteczny przy lekturze dziełka. Obie te prace dowodzą najlepiej sumienności metod historycznych ks. Wulfersa (pozyskanych w Królewcu?). Trud tłumaczenia spoczywał na pięciu kadetach. Znamy ich z imienia: Adam Radzimiński, Józef Rembieliński, Józef Wasilewski, Wincenty Wygonowski i Xawery Wyszkowski. „Ci pięciu... z ochoty własnej nad lekcyj swych obowiązki podjęli się tej roboty, którą co najpilniej wypracowali mimo licznych innych nauk rodzajów". Czas nauki szkolnej (trzy godziny tygodniowo literatury) zbiegł owej klasie na lekturze sześciu ksiąg Wergiljusza oraz dwu ksiąg liryk Horacego. Praca popołudniowa nad Neposem trwała „kilka miesięcy".

Udział w przekładzie Józefa Wasilewskiego był znaczny: przełożył Przedmowę Neposa oraz 5 ustępów biograficznych (Temistokles, Dyon, Ifikrat, Tymoleon, królowie świata starożytnego). W owem gronie kadeckiem jedynie Radzimiński przetłumaczył siedm biografij, Rembieliński i Wygonowski — po pięć, Wyszkowski cztery. Coprawda życia wybornych hetmanów nie były sobie równe rozmiarami.

Niełatwo rozpoznać w zbiorowej tej pracy charakter indywidualny. Redakcja całości zabiegała świadomie, „żeby... różność pióra i stylu znacznie się zbyt nie wydawała"; usunął jednostkowe cechy języka wspólny wysiłek profesora i uczniów. Wierność przekładu — oto, co było dla nich najważniejsze. Jedynie, gdy ucierpieć miała „natura języka polskiego", szukano odpowiedników treściowych, nie słownych, by nie zatracić „sensu, znaczenia i mocy" oryginału. Gdy spoglądamy na strony przekładu, znaczone nazwiskiem Józefa Wasilewskiego, przyznajemy walory objektywne tej prozie szkolnej: staranność języka, trafność wyrazu, jasność składni. Największe znaczenie dla pisarza potencjalnego miała w zadaniu szkolnem — próba języka i stylu. Wielkie trudności przekładu zaprawiają pióra. Poziom ogólny tomu jest naogół jednolity.

Czasy, które nadeszły, były wojenne. Generał Wasilewski zamienił poszyt z ćwiczeniem kadeckiem pod pilnem okiem ks. Wulfersa na sprzęt i rynsztunek bojowy. Zasłużył się — nie w literaturze. Po latach przyszło mu spotkać się już tylko z Marcinem Molskim.

GARRULUS

DWA POJĘCIA SZTUKI

(NORWID I PRZYBYSZEWSKI)

Pisząc o sztuce w kilka dziesiątków lat po Norwidzie, stawiał Przybyszewski artyście to samo żądanie, jakie zwracał do piszącego ten poeta i estetyk, którego właśnie pokolenie Przybyszewskiego odkryło i postawiło na wyżynie. Jest to żądanie rzeczy, nieodłącznej od każdego prawdziwego dzieła sztuki, więcej nawet — od każdego ludzkiego dzieła, które ma posiadać wartość — żądanie szczerości, a więc prawdy.

Norwid pisze w „Promothidionie":

„Lecz jabym główniej myśl artysty badał,
I czy dosłownie naród on spowiadał
Czy się nie wstydził prawdy i nie stłumił".

Jeszcze silniej i piękniej wypowiada Norwid te samą myśl w innym ustępie „Promothidiona":

„Skąd są proroki? Prawo jakie ich podpiera?
To, że dla prawdy każdy z nich umiera
Co dzień, co chwila, co słowo, co groza,
Co oklask..."

Gdy sięgniemy teraz do „Moich Współczesnych" Przybyszewskiego, w której to książce rozwija i uzasadnia autor swoje poglądy na sztukę, znajdziemy w nich znowu, jako najwyższy nakaz dla artysty, dążność do szczerości i prawdy. Osławiony i ośmieszony postulat „nagiej duszy" jest żądaniem od autora dotarcia do prawdziwego źródła natury, ludzkiej psychiki, dążnością do jak najdokładniejszej i najściślejszej analizy ludzkiego ja.

„Rozkiełznać człowieka, ujrzeć go nagim", ujrzeć go takim, jakim jest, nieskrępowany „żadnem prawem, żadnym nakazem, w całej pełni wolności instynktu, w całej nieokiełznanej mocy"—woła Przybyszewski w „Moich Współczesnych" (t. I, str. 296), nie uświadamiając sobie może, że tego rodzaju żądanie przekreśla całą tę nadbudowę, jaką

stworzyły w ludzkich duszach wieki kultury i doprowadzić musi artystę do badania nie człowieka współczesnego, ale człowieka pierwotnego, zachowanego w dzisiejszym człowieku kulturalnym w większym lub mniejszym stopniu, stanowiącego jednak zaledwie cząstkę — podstawę, jeśli kto chce — dzisiejszej ludzkiej psychiki.

Żądanie i hasło brzmią jednak u obu artystów podobnie i głoszona zasada jest ta sama.

Jak się dzieje więc, że wychodząc z tych samych założeń, z dążności do szczerości i prawdy, doszli Norwid i Przybyszewski do tak różnych poglądów na istotę i cele sztuki?

Przybyszewski był, jak wiadomo, propagatorem hasła „Sztuka dla sztuki". Sztuka, powiada w „Moich Współczesnych", „nie ma żadnego celu", „przynajmniej żadnego z tych wszystkich, jakie masy ludzkie za cel uważają". Nie powinno się zatem zaprzęgać jej w służbę dla idei, czyto narodowej, czy jakiej innej. Jest ona tylko, i winna być tylko objawieniem ukrytych w człowieku nieznanych mu potęg. Od artysty żąda się zatem tylko bezwzględnej szczerości.

Pogląd swój na sztukę ujął Norwid w pięknym znanym dwuwierszu „Promethidiona":

„Bo Piękno (sztuka) na to jest, by zachwycało
Do pracy, praca — by się zmartwychwstało".

Według Norwida zatem sztuka ma rolę nie odtwórczą, jak dla Przybyszewskiego, lecz twórczą, celem jej jest prowadzić człowieka — poprzez pracę — na wyżyny ludzkiego ducha.

Uświadomiając sobie, gdzie ma źródło ta rozbieżność opinij obu głosicieli prawdy i szczerości w sztuce na jej zadania i cele, musimy sięgnąć do tych wpływów, które kształtowały ich poglądy na podstawowe zagadnienia metafizyki, t. j. z jednej strony do masonerji i Kabały żydowskiej, których wielbicielem był w ciągu kilku dziesiątków lat, po rozstaniu się z materjalizmem, będącym wiarą jego młodości, Przybyszewski, z drugiej strony do prawd Kościoła Katolickiego, których wyznawcą był Norwid.

Gdy uświadomimy sobie, że Kabała żydowska oparta jest o dualizm, będący równouprawnieniem pierwiastka dobra i pierwiastka zła, zrozumiemy, że w duszy artysty, pełnego kultu dla wiedzy i mądrości Kabały, istnieć musiała pewna tendencja do wyolbrzymiania zła i pewna wobec zła bezradność. To też i rola artysty wobec zła jest dla Przybyszewskiego rolą bierną: zadaniem artysty jest tylko, szczerze i uczciwie, przedstawić zło, które widzi.

Norwid patrzy na zło inaczej: nie jak na objaw, którego istnienie się konstatuje, ale jak na fakt, który można przezwyciężyć, który zatem przezwyciężyć należy. Ten dynamizm moralny Norwida, bardziej niż co innego, stawia go w rzędzie pisarzy głęboko chrześcijańskich. Podczas gdy dla Przybyszewskiego, jak widzieliśmy z cytowanych zdań, prawdą będą jego pierwotne instynkty, dla Norwida będą nią te duchowe wartości, o które człowiek walczy, za które cierpi i „co chwila umiera", przekreślając bezustannie coś ze swego ja, aby spełnić ciążące na nim zadanie.

Ten sam dynamizm moralny znajdujemy w poglądach Norwida na sztukę. Pięknem, jak powiada w „Promothidionie",

„nie jest to co się podoba
lub podobało, lecz co się w i n n o podobać".

Podobnie jest i z Dobrem. Dobrem „nie jest z czem przyjemniej, lecz co ulepsza"...

Artysta, obdarzony dynamizmem moralnym, wie, że i on, jak każdy inny człowiek, mocen jest tak przeobrazić, przerobić, przekuć swoją duszę, iżby zostały w niej te tylko czynniki, dzięki którym jego sztuka (piękno) „będzie zachwycała do pracy", istniejącej poto, by się „zmartwychwstało".

Wtedy tylko, gdy potrafi to uczynić, gdy stać go będzie na to, aby umierać co chwila dla swej prawdy, głosić ją zarówno wobec grozy niebezpieczeństwa, jakie jego prawda będzie dla niego za sobą ciągnąć, jak i wobec oklasków, któremi tłum darzyć będzie inne prawdy i innych ludzi, wtedy i tylko wtedy, gdy tak głęboko pojmować będzie swoją służbę dla społeczeństwa, stać się może prorokiem i wieszczem swego narodu.

Nasuwa się tutaj porównanie tego stanowiska Norwida z poglądami na rolę artysty, wypowiadanemi przez Jacques'a Maritain, o których pisze w rozbiorze twórczości Mauriaca K. Górski[1]) Niewątpliwie bowiem właśnie dynamizm moralny Maritain'a dopomógł mu do rozwiązania konfliktu, który tak długo męczył Mauriac'a: pomiędzy dążnością do jak najtrafniejszej analizy ludzkiej duszy, a odpowiedzialnością moralną autora za skutki, jakie wywierać może na duszę odmalowane przezeń zło. Maritain, podobnie jak Norwid, 'jak Przybyszewski, jak Mauriac, wie, że nietylko prawem, ale i obowiązkiem artysty jest szczerość, a zatem również szczerość w przedstawianiu ujemnych stron ludzkiej duszy. Rozumie jednak, że zło, które artysta maluje, jeśli zostanie przezwyciężone w jego duszy, nie zatruje duszy czytelnika. Jak dalece trafne jest to stanowisko, uprzytomnimy sobie, sięgając myślą np. do III-ej części „Dziadów" Mickiewicza. Nikomu nie przejdzie przez myśl, by odmalowanie w utworze tortur młodzieży mogło zachęcić kogokolwiek do stosowania wobec młodzieży podobnego postępowania. To samo odnosi się do każdego problemu etycznego. Jądro kwestji tkwi zatem, zarówno dla Maritain'a, jak i dla Norwida, w czystości duszy artysty i w poziomie duchowym, który artysta zdoła osiągnąć.

Porównując poglądy na sztukę Przybyszewskiego i Norwida musimy stwierdzić, że zadanie, jakie wyznacza jej Norwid, przewyższa o całe niebo tę rolę, jaką spełnia sztuka w teorjach Przybyszewskiego. Górniej sięga dążnościami Norwid, duch jego zatacza o wiele szersze kręgi, sztuka, jak widzieliśmy, ma rolę mistrzyni i przewodniczki na drogach ducha. Z drugiej strony bezradność wobec zła odbija się nietylko na poglądach, ale cechuje całą sztukę Przybyszewskiego. Niewola ludzkiego ducha wobec zła, niemożność wzniesienia się ponad zło, które jest czemś fatalistycznem, ciążą na jego utworach i są źródłem tej depresji moralnej, jaką często utwory jego wywierają.

Istnieje jednak w poglądach Przybyszewskiego szczegół, który świadczy, że ta postawa duchowa autora, jakkolwiek zajmowana w ciągu kilku dziesiątków lat, nie była czemś wrodzonem, właściwem jego duszy, że miała ona charakter raczej akcydentalny. Jest to jego kult dla najbardziej może religijnego z naszych poetów, Kasprowicza. Kasprowiczowi jednemu z pośród współczesnych przy-

[1]) Konrad Górski: „François Mauriac—Studjum literackie", Poznań 1935

znaje Przybyszewski genjusz, jego wespół z Kochanowskim i Mickiewiczem chce widzieć w wielkiej trójcy poetów polskich. Gdy dowiadujemy się ponadto, że to właśnie przed religijnemi poezjami Kasprowicza chyli Przybyszewski czoło, odnosimy wrażenie, że ten głęboki podziw Przybyszewskiego dla jego współziomka z kujawskiej gleby jest hołdem, złożonym nietylko talentowi, ale również, nieświadomie, religijnej i głęboko chrześcijańskiej duszy Kasprowicza. Jest to rys u zwolennika Kabały i okultyzmu zgoła nieoczekiwany.

Świadczy on o tem, że duch poety wyrywał się z tych pojęć i poglądów, w których tkwił, i potwierdza, że to nie organiczna niezdolność wzniesienia się ku religijnym szczytom, ale wpływy masonerji i Kabały, jakim Przybyszewski ulegał, spaczyły drogi jego ducha i rozwoju, zniżyły jego lot i podcięły mu skrzydła.

MARJA STECKA

PAWEŁ BOURGET

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE)

W PIERWSZY dzień Świąt Bożego Narodzenia zmarł, przeżywszy osiemdziesiąt trzy lata, Paweł Bourget, ostatni z tego pokolenia świetnych pisarzy francuskich (A. France, J. Lemaitre, K. J. Huysmans, I. Richepin i t. p.), co doszło do głosu w kilkanaście lat po klęsce narodowej 70-go roku, wnosząc w życie duchowe Francji ideje i nastroje będące jej wynikiem.

Urodzony w Amiens 1852 r., studjował z początku w Clermont, gdzie ojciec jego, znany matematyk, był rektorem akademji, a następnie w Paryżu. Tu, jeszcze na ławie uniwersyteckiej, rozpoczął swój zawód literacki, współpracując w wielu pismach, i przez sześćdziesiąt kilka lat, rzec można bez przerwy, nie wypuszczał pióra z ręki prawie aż do ostatnich chwil swego życia. (Na kilkanaście dni przed zgonem Bourget'a, w grudniowym zeszycie *„Revue des deux mondes"*, wydrukowano jego sprawozdanie z działalności muzeum w Chantilly, którego zmarły był jednym z kuratorów).

Długi szereg dzieł Bourget'a — poezyj, powieści, nowel, szkiców krytycznych i t. p. — rozpoczyna w 1874 r. tomik utworów poetyckich *(„La Vie inquiète")* a kończy się on, w 1935 r. powieścią *(„Laborantines")* Z utworów, co go wsławiły wśród swoich i obcych i wyrobiły mu wpływowe stanowisko w literaturze francuskiej ostatnich czasów, wymienić należy jego szkice krytyczne *(„Essais de psychologie contemporaine", „Nouveaux Essais de psychologie contemporaine"* i t. p.) oraz najwybitniejsze powieści jak: *„Cruelle énigme"* (1885 r.), *„Crime d'Amour"* (1886 r.) *„Le Disciple"* (1889 r.), *„Cosmopolis", „L'Etape", „Un Divorce", „Le Demon de midi", „Nos actes nous suivent", etc etc.* W ciągu swojej długiej karjery literackiej potrafił zainteresować parę pokoleń licznych i różnorodnych czytelników, dlatego między innemi, iż należał do tego rodzaju organizacyj intelektualnych i moralnych, które posiadają dar ciągłego odmładzania się. Zawód swój pozatem pełnił z dużem poczuciem odpowiedzialności, z godnością i namaszczeniem.

O tem jak pojmował Bourget rolę pisarza w społeczeństwie i czem się kierował w swej pracy literackiej, sam mówi najlepiej w przedmowie do jednego ze zbiorowych wydań pism własnych: „Wbić w umysł czytelnika przekonanie"—powiada tam — „że u podstawy wszelkich zagadnień życia moralnego, podobnie jak u podstawy wszelkich zagadnień życia fizycznego, spoczywają fakty, które należy zaobserwować, oraz pewna rzeczywistość, którą trzeba poznać, wyodrębnić niektóre z tych faktów, opisać je, wykazać konieczność pewnych związków; wzmocnić psychologję niektórych faktów autentycznych; dostarczyć dowodów na poparcie bądź obalenie wielkich doktryn, któremi kierują się jednostki i społeczeństwa — prowadząc je, jeśli są słuszne, do zdrowia, a gdy są niesłuszne, to do upadku — taką wydawała mi się dobroczynna funkcja literatury, kiedy zacząłem pisać. Dziś jeszcze nie znam wyższej".

Metodę oraz cel własnej twórczości scharakteryzował tu Bourget bardzo trafnie. Jednym z faktów zaobserwowanych, których psychologję wciąż wzmacniał w swoich utworach, było, powtarzające się w życiu społeczeństw dzisiejszych, zjawisko — mianowicie: ilekroć ktokolwiek w życiu praktycznem odbiega od moralności katolickiej, za każdym razem pociąga to za sobą rozstrój w jego własnem istnieniu, bądź w czynnościach organizmu społecznego. Rozstrój ten niezawsze występuje odrazu. Jak niektóre choroby, których symptomaty ukazują się późno, będzie on wzbierał powoli pod pozorami szczęścia i spokoju, lecz pojawi się nagle, nieubłagany i straszny, podczas gdy ludzie w zaślepieniu swojem będą poszukiwali jego przyczyn mniej odległych.

Nie odrazu stanął Bourget na tym twardym i niechwiejnym gruncie prawdy zdrowego życia jednostek i społeczeństw, stwierdzonej wiekowem doświadczeniem ludzkości. Nęciły go miraże rojących wyrafinowane rozkosze zmysłów, pociągały bezdroża myśli subtelnej, lubującej się we własnej zmienności. Niepokoje, zboczenia i niedomagania dusz ludzkich, czego objawy typowe zaobserwował u znakomitych przedstawicieli paru poprzednich pokoleń (Stendhal, Baudelaire, Renan, Flaubert i t. p.) nawiedzały i jego własną duszę. Przechodził i on, w pierwszym okresie swego zawodu literackiego, przez chorobę dyletantyzmu intelektualnego, którego przenikliwą analizę dał w swoich „Szkicach psychologji współczesnej", doświadczył pokus kosmopolityzmu i t. p. snobizmów, wchodzących w skład atmosfery duchowej jego czasów.

Wyszedł z tych chorobliwych stanów duszy, gdy się przekonał jak niebezpiecznemi zaburzeniami duchowemi zagrażają one jednostkom i zbiorowościom, jak straszną zarazę moralną wnoszą w ich organizm.

Chociaż Bourget niejednokrotnie stwierdzał, iż z powodu zmiany, jaka nastąpiła w jego twórczości z chwilą wydania *„Disciple*'a", nie można mówić o jego „nawróceniu", niemniej jednak za-

szło tu niewątpliwie odwrócenie się od tego wszystkiego, co, aczkolwiek z pozoru piękne i pociągające, niemniej osłabiało życie moralne jednostki,—a także stanowcze oparcie się na prawdzie, że „w chwili obecnej dla jednostek jak dla społeczeństw, chrześcijaństwo jest warunkiem jedynym i koniecznym zdrowia oraz uzdrowienia".

Z chwilą przyjęcia powyższej zasady twórczość Bourget'a pójdzie po drodze śledzenia głównego faktu, mianowicie „praktycznego odbiegania od moralności katolickiej" oraz stwierdzania następstw tego w życiu jednostek i społeczeństw.

Pogląd powyższy stanie się przewodnią ideą licznych powieści autora „*Disciple'*a". Nie wszędzie jednak jest on dobrze uzasadniony, a niekiedy (jak np. w powieści „*L'Etape*") tę główną tezę swoją przeprowadza Bourget w sposób sztuczny, nieodpowiadający charakterowi ludzi i wypadków opisanych. Wskutek tego niektóre postaci jego utworów nieraz są w niezgodzie z prawdą życia, nie żyją życiem własnem, gdyż autor zgóry je przeznacza na to, by przedewszystkiem stwierdzały jego ulubioną tezę. Najsłuszniejsze doktryny niewiele na tem zyskują, żywi zaś ludzie dużo tracą ze swojej naturalności.

Ale — trzeba mu pomimo to szczerze przyznać,—iż wychodząc z tej, przyjętej raz na zawsze, prawdy, przyczynił się Bourget do zdemaskowania wielu fałszywych zasad oraz zdyskredytowania niejednej fałszywej wiary, że nadto przywrócił cześć ideom konserwującym i zabezpieczającym zdrowie moralne jednostek i społeczeństw.

Jego wysokie poczucie odpowiedzialności autorskiej, jego poglądy na rolę pisarza w społeczeństwie przyczyniły się również do zapoczątkowania dobroczynnej reakcji w dziedzinie samej sztuki, która z dostarczycielki rozkosznych wrażeń oraz narzędzia użycia, jaką starała się być podówczas, stawała się powoli współdziałaczką w dziele uszlachetnienia człowieka, umocnienia jego istoty moralnej.

W tej mierze zasługi Bourget'a są niemałe, zarówno jak i w sprawie pobudzenia twórczości literackiej do badania człowieka wewnętrznego, który był zaniedbany w okresie naturalizmu, a także i zagadnień życia zbiorowego.

Największą wszakże zasługą Bourget'a było to, iż nie zadowalał się on rolą wyłącznie literata, dbałego tylko o własną sztukę, lecz miał odwagę wziąć udział w walce idej, a całe dzieło jego świadczy o tem, iż w walce tej bronił zawsze inteligencji przeciw fałszywym dogmatom oraz zwodniczym prawdom, jakiemi się pysznił koniec ubiegłego wieku. Tego rodzaju służba dla literatury — była prawdziwie zaszczytną służbą dla cywilizacji.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

KALWARJA WILEŃSKA

POGODNY dzień jesienny skrzy się łaską kolorowych słonecznych uśmiechów...

To nasz polski październik otwiera pożegnalny tydzień złotej jesieni, by swoją krasą nasycić oczy, a w dusze wlać moc przetrwania długich, zimowych mroków, które niebawem nadejdą.

W taki dzień niepodobna usiedzieć w mieście. Wszelkie najważniejsze sprawy pierzchają z myśli nikłym dymem wobec błękitno-złocistej pokusy, nęcącej z każdego okna. Dreszczem słodkiego oczekiwania przejmuje włóczęgowska gorączka i podsuwa zdradziecko rozstrzeloną geografję wileńskich okolic, naszeptuje magiczne słowa: Zakret... Karolinki... Belmont... Puszkarnia... Kalwarja... Trynopol..., z których każde połyskuje tęczą barw, płonie rozzłoconą jasnością, gra na najcichszych strunach serca przenikliwą, niczem niezagłuszoną melodję padającego listowia.

Chwila zastanowienia usuwa kłopot wyboru. Nie szpilkowych lasów dziś święto, tylko drzew liściastych, tych brzóz i lip, tych klonów i jesionów, co żegnają słońce łabędzią pieśnią o krwawych i bursztynowych zwrotkach. Więc Kalwarja... i Trynopol... i to najpiękniejsze wzgórze lesiste ponad kaplicami trynopolskiemi, jakimś cudem jeszcze ocalałe w dookolnem powojennem zniszczeniu lasu[1]).

Autobusem z placu Orzeszkowej jest się w pół godziny prawie na miejscu. Ale nie należy jechać wprost do Kalwarji, by nie pominąć zakątków najbardziej godnych uwagi, a mniej znanych. Najlepiej wysiąść przed folwarkiem Bołtupie i, nie dochodząc do osiedla, skręcić wprawo polną drogą, która łukowato wymija folwark, a za nim dotyka dębowego gaju ze świętym strumieniem Cedronu. W gaju, rozłożonym na dwu wzgórzach, dęby pomieszane z klonami sypią na murawę szczerozłote dukaty, a między wzgórzami rozgłębia się nagłą spadzistością zielona kotlina — jar Cedronu. Gromadami schodzą drzewa coraz niżej do polany, przeciętej ruczajem, by po drugiej jego stronie rozpocząć wspinaczkę na jeszcze wyższe wzgórze, skąd wzrok sięga aż ku wileńskim kościołom, majaczącym w modrej dalekości.

Gaj cedronowy za Bołtupiem — to preludjum — pierwszy akord melodji, jaką zagrają w Trynopolu: słońce, niebo i drzewa. To w dwu przepaścistych rzutach zgóry wdół i z powrotem — zapowiedź tego malowniczego, wzburzonego falo-

---

[1]) Trynopol. Kościół z b. klasztorem O.O. Trynitarzy został założony w r. 1695 przez biskupa wileńskiego Brzostowskiego, początkowo zbudowany z drzewa, w pierwszej połowie XVIII wieku przebudowany w murze w stylu rokokowym. W r. 1812 zabrany przez Rosjan na cerkiew. W r. 1849 przekształcony przez nich wewnętrznie. Rewindykowany po wojnie, kościół trynopolski powrócił do pierwotnego przeznaczenia, a w klasztorze mieści się ochronka litewska.

Odległość od Wilna 5 kilometrów. Dojazd przez ulicę Kalwaryjską autobusem do Bołtupia, stamtąd pół kilometra pieszo w kierunku południowym.

Kalwarja. Kościół i b. klasztor O.O. Dominikanów został założony w r. 1664, jako akt wdzięczności za przepędzenie moskali z Wilna. Kościół początkowo drewniany, Dominikanie przebudowali na murowany w latach 1755 — 72 w stylu rokokowym ze smukłemi wieżycami i z dachem mansardowym na budynku klasztornym.

Odległość od Wilna 7 kilometrów. Dojazd autobusem przez ul. Kalwaryjską i Bołtupie do Jerozolimki (osada przy Kalwarji).

wania terenu, którem ogarnie nas — i porwie — i zachwyci — lesiste, pagórami wzdęte, wąwozami żłobione, to opadające, to znów napiętrzone, zielone morze kalwaryjskie. Chciałoby się zostać dłużej przy prześlicznej, zacisznej drodze, prowadzącej do cedronowego parowu, ale oto już wyrastają przed nami drzewa trynopolskie i załamana pod prostym kątem droga podrywa i zachęca do dalszej wędrówki. Tam — za zakrętem — doznamy nowego olśnienia... Śpieszmy... Wszak zawsze tam jest najpiękniej, gdzie nas niema...

Wzdłuż ogrodzenia parkowego schodzimy łagodnym skłonem do starej drogi kalwaryjskiej, obecnie mało uczęszczanej, a zatrzymując się na niej, mamy przed sobą trzy trynopolskie stacje Męki Pańskiej u stóp leśnego wzgórza, pnącego się wysoko ponad białe kaplice. Prosto za niemi przebłyskuje rzeka, a na lewo z bukietów klonowych wynurza się kościół. Jesteśmy u celu.

Zwykły turysta ogląda kaplice i kościół z drogi, poczem wędruje dalej wgłąb kalwaryjskiego lasu lub też idzie brzegiem rzeki do Werek. Ale tak czyniąc, omija jeden z cudownych zakątków, leżący tuż, ale nieco na uboczu i dlatego mniej znany. Trzeba wspiąć się wzgórzem mimo kaplic i wejść lasem na szczyt góry, która wyrasta naturalną trybuną nad okolicą i ponad szczytami sosen tworzy rzadką w okazałej rozległości widownię na dolinę Wilji.

Tam wejść — i stanąć — i patrzeć...

— — — — — — — — — — — — —

Tam, od podnóża góry do szczytu, kędzierzawe sosny wznoszą w niebo swą zieloną wspaniałość, kolumnowo czernieją strzeliste świerki, a wśród nich brzozy, jak słupy płomienia, gorejąc rzęsistą jasnością. Przyciągają, chłoną, skupiają w sobie całą promienistość południowej godziny i stoją w niemem urzeczeniu własnym przepychem, świecące pozłocistem listowiem...

Urwistemi tarasami spada wzgórze ku rzece, a drzewa schodzą z niem razem po pochyłościach, rozwieszają na coraz innych poziomach festony konarów, jak rozsunięte teatralne kulisy i przez ich otwarte okna ukazują coraz nowe panoramy rozpostartej w słońcu okolicy. A dołem Wilja zatacza łuk szeroki i modry, i w zielonej ramie leśnej wywija się połyskliwą wstęgą w dal, by się załamać nagłym zakrętem u stóp werkowskiego parku.

Na lewo, wtulone w tło kalwaryjskiej wyżyny, olśniewająco srebrzą się wieżyce w Trynopolu, jak dwie olbrzymie gromnice, zuchwale rozpalone słońcem we wnętrznej pomroce boru. W bezludnej ciszy kościół jawi się zdumionym oczom na podobieństwo mnicha-pustelnika, twardo odcinającego się białym habitem od ciemnej świerkowej gąszczy. A gęstwina obstępuje go zwartemi ścianami, buduje wokoło całe miasto wież i krużganków, wznosi cały teatr cienistych zasłon i dekoracyj, z których wystrzela wgórę jasność osłonecznionych szczytów.

Setki już lat przebywa biały mnich w trynopolskim lesie. Ledwie do bark dorastają mu korony odwiecznych drzew. Szumią sosny z nim razem poranne i wieczorne pacierze, są mu domem i osłoną, asystą i echem, są mu światem całym. Niepilno pustelnikowi do innego świata, którego wszystkie ponęty zakrywa i odsuwa leśne uroczysko, zostawiając tylko otwarty okrąg błękitnych niebios. W ich głębię idą pustelnicze spojrzenia i modlitwy, wznoszą się razem z przelotnemi chmurami i niosą do Boga wieść o dobrym słudze, sprawującym tutaj cichą straż wieczystego dumania. Złoci go i rozświeca od wschodu do zachodu ognista źrenica słońca, opromienia blaskiem tak jarzącym, jakgdyby sam był pochodnią żarliwego uwielbienia, rozniecioną na chwałę bożą wśród samotnego boru. Biały mnich trynopolski staje się ogniskiem światłości, a czerń lasu służy mu tłem i mistycznym mrokiem owiewa jego uroczystą postawę.

Wyżej jeszcze, ponad tem spiętrzeniem leśnem, na wysokości sosnowych szczytów, na samym widnokręgu radośnie wykwita smukły zarys kościoła kalwaryjskiego, zmniejszony oddaleniem do rozmiarów świątyni-modelu, jak ten, który ofiarowuje Bogu na jakimś starym obrazie pobożnie klęczący fundator. Z poza dalekiej linji lasu wynurzają się białe wieżyczki, połyskuje czerwień dachu minjaturowego kościołka, co zdaje się być zawieszony w powietrzu, urągając prawom natury, jakgdyby ręka boska uniosła go w błękity, by stamtąd pokazać światu i uradować ludzkie oczy.

Takie widoki otwierają się z trynopolskiej góry ku wschodowi. Inaczej jest na zachodniej stronie. Las, jeszcze śmigły i gęsty na stoku, rzednie na szczycie, a szczyt rozszerza się w polne płaskowzgórze i znaczy swoje dzisiejsze granice rzędami ściętych pni — smutnem świadectwem kurczenia się pięknego gaju, który niegdyś był rozległym lasem, i ciągnął się aż do przedmieść wileńskich. Ogołocone z drzew płaskowzgórze ściele się teraz równinną monotonją pól, a za niemi majaczą w dali fabryczne kominy i koszarowe bloki miasta. Wolno, ale nieuchronnie zbliża się miasto do trynopolskiego gaju i niesie mu wyrok zagłady.

Oczy z ulgą odwracają się od upiornych konturów miasta, by powrócić do zielonych sosen, do ciemnosinych świerków, do złotych brzóz i nacieszyć się widokiem ich majestatycznego zstępowania ku rzecznej dolinie, a usta mimowiednie szepcą gorące zaklęcia, by te drzewa przetrwały grożące im niebezpieczeństwo, by zachowały nietkniętem swe żywe piękno i nie dały się zniszczyć rękom chciwym, a bezrozumnym. Nie wiem, kto jest właścicielem tego lasku, zajmującego niewielką przestrzeń jakiegoś pół hektara, i kogo należy błagać, by go uszanowano; nie wiem komu tłumaczyć, że jest on wskutek swego położenia nieocenionym klejnotem krajobrazu wileńskiego, amfiteatrem leśnym o niezmiernym uroku, malowniczą widownią na dolinę Wilji z Trynopolem i Kalwarją, że zniszczenie jego, już rozpoczęte, byłoby zbrodnią nigdy nie darowaną, gdyż wartość jego materjalna jest nieduża, a pejzażowa — ogromna. Wiem tylko, że mało jest dookoła Wilna zakątków tak pięknych i tak wartych zachowania, a tak mało znanych i zwiedzanych, że pierwszym obowiązkiem miasta jest zatroszczyć się o ochronę i uratowanie trynopolskiego gaju, dopóki jeszcze go do reszty nie wyrąbano.

Ale na dzisiaj odwróćmy się plecami od spraw codziennych i przykrych i pozwólmy odpocząć myślom i oczom... Pogodny dzień jesienny tak cicho skrzy się łaską słonecznych uśmiechów...

(Dok. n.) JAN BUŁHAK

WSPOMNIENIE UŚMIECHNIĘTE

Motto:

Takie były zabawy, spory w one lata...

Mickiewicz.

DOBROCZYNNA właściwość wyobraźni pozwala nam znajdować się o sto mil od ludzi, których mamy tuż obok i odczuwać bliskość innych, będących w danej chwili o sto mil.

Rocznica śmierci Reymonta oderwała mię od bieżącej rzeczywistości i przeniosła wspomnieniem w inne lata, gdy często widywałem znakomitego pisarza na tle okupowanej przez Niemców Warszawy. Pisałem o tem w „Kurjerze Warszawskim" 5 grudnia. Tutaj chcę dorzucić kilka wspomnień weselszych, bo i w ponurych czasach jest jednak miejsce na uśmiech.

Było to w pierwszych dniach sierpniowych 1915 r., przy huku wysadzanych mostów i pogwizdywaniu kul wzdłuż ulic, mających wyloty na Wisłę oraz brzeg praski, jeszcze zajęty przez Rosjan.

Armja niemiecka dnia 5.VIII złożyła Warszawie swą pierwszą kartę wizytową, z której przypomnę urywek:

„Widzę się zmuszonym naczelników oraz znamienitych obywateli miasta wziąć jako zakładników, którzy mi będą odpowiedzialni za bezpieczeństwo wojska... Kara śmierci oczekuje każdego itd.

Podp. Wódz. Nacz. W. N. *Leopold*, książę bawarski, generał-feldmarszałek".

Z tym właśnie księciem-feldmarszałkiem wiąże się dość zabawne zdarzeńko z 7-go, bodaj, sierpnia. W hotelu Bristol oficerstwo niemieckie zapowiedziało uroczyste śniadanie dla swego naczelnego wodza.

Tego samego dnia moi teściowie, mieszkający stale w Bristolu, zaprosili również parę osób na wczesny obiad. Wszyscy goście, według umowy, zeszli się przed zamknięciem bramy dla „cywilów"; zabrakło tylko p. Karola Frycza, równie miłego jak roztargnionego, który był tymczasowym bezdomnym, bo mu mieszkanie na Kanonji formalnie rozstrzelano z za Wisły.

Zostałem wydelegowany do windy, aby z jej głębin mieć oko na *hall* hotelowy, czyhać na spóźnionego i starać się o ułatwienie mu wejścia. Zadanie to uważałem za beznadziejne, ale udałem się bez sprzeciwu na wskazany posterunek.

Wkrótce *hall* się zapełnił mundurami. Odbyło się uroczyste wejście Jego królewskiej bawarskiej Wysokości, która ustawiła się malowniczo pod ścianą.

Odżałowałem Frycza i niemal zapomniałem o nim, zajęty obserwacją etykietalnej fety, godnej szkicownika Wojciecha Kossaka, chociaż nie było tam koni.

Nagle spostrzegam, że oficerstwo rozstępuje się przed kimś, i że tym kimś jest właśnie—Karol Frycz, kłusujący w jasnym paltocie i w kapeluszu na głowie wśród dwustronnego szpaleru prostujących się przed nim mundurów... Na interwencję było zapóźno. Zauważyłem ze zdziwieniem, że zgrzybiały książę-feldmarszałek przybrał postawę w dwójnasób ugrzecznioną i najwyraźniej szykował się na powitanie intruza, ale ten nagle pokazał księciu plecy, skręcił do windy i krzyknął: „Prędko na piąte!"

Ruch dźwigu oderwał nas w mgnieniu oka od zdumionego zgromadzenia. A Frycz, zauważywszy nareszcie moją obecność, zaczął wyrzucać z siebie gorączkowe słowa: „Spóźniłem się... pani Julja napewno oburzona.. Przyniosłem trochę róż na przeprosiny..."

W tych różach właśnie tkwiło rozwiązanie zagadki: one to posłużyły za paszport do królewsko-bawarskiego Sezamu:—rozstępowano się przed Fryczem, uzbrojonym w bukiet, bo myślano, że jest to nareszcie jakiś delegat-aryjczyk, śpieszący złożyć księciu kwiaty — od Warszawy...

Zdarzeniem tem poprostu delektował się Władysław Reymont i kazał je sobie opowiadać po parę razy podczas swych częstych wizyt u teściów moich w Bristolu.

Reymont żywił szczerą awersję do Niemców. Nikt tak jak on nie umiał z depesz cenzurowanych odczytać sensu niecenzuralnego. Przeciwniczką jego bywała czasem moja teściowa p. Julja Jentysowa. Dzięki jej elokwencji i swobodzie argumentacyjnej — utarczki słowne przypominały bitwy pod „*Chemin des Dames*". Jedna z nich zwłaszcza miała przebieg nadspodziewanie ostry i skończyła się aż na schodach, dokąd wybiegli przeciwnicy, chcący się rozłączyć, a niezdolni przerwać dysputy.

Zdaleka wpadł mi w ucho argument ostatni, rzucony z groteskową pasją przez autora „Chłopów": „Ręczę, że Niemcy przegrają, muszą przegrać! Naród, który ma taką podłą kuchnię, niema żadnej przyszłości,—słyszy pani?"

Zajście zakończył nazajutrz następujący list, przechowywany przez p. Julję Jentysową jako droga pamiątka rycerskości Reymonta.

Szanowna Pani!

Jestem chory i w następstwie tego nazbyt łatwo ulegam rozdrażnieniu, — więc jeśli wczoraj przestąpiłem dozwoloną granicę, zresztą mimowoli, w naszej dyspucie, to najserdeczniej Szan. Panią przepraszam. Żałuję niezmiernie jeśli mogłem czemkolwiek zasłużyć na niezadowolenie Szan. Pani. O ile kiedykolwiek w życiu będę miał jeszcze okazję, powtórzę przeproszenie osobiście i jak najuroczyściej.

Łączę wyrazy najgłębszego poważania, szacunku i przyjaźni.

Sługa Wł. St. Reymont.

10.II.1916, Krak. Przedm. 79.

Takie były zabawy, spory w one lata, oczekujące dotychczas na wszechstronną i bezstronną kartę w literaturze.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Św. Tomasz z Akwinu i jego rada.—Rozsądna reforma na wyższych uczelniach. — Jej znaczenie ogólniejsze.— Niesłuszna objekcja.—Opinja p. A. Słonimskiego.

KIEDY, przed rokiem zgórą, pojawiła się „Gospodarka narodowa” Adama Doboszyńskiego, jednym z poglądów, które najżywszą wywołały dyskusję, najgorętszych znajdując i przeciwników i obrońców, było zamieszczone na końcu pierwszego rozdziału zdanie, iż autorytetem, na którym postanowił oprzeć się pisarz, „będzie św. Tomasz z Akwinu, nietylko dlatego, że był wielkim myślicielem, ale przedewszystkiem dlatego, że był Święty”.

Niewątpliwie, przytoczony aforyzm rozumieć należy w sposób rozsądny. Jasne jest, iż świętość nie zapewnia trafności rozwiązań, jeżeli chodzi o zagadnienia wiedzy czy techniki: niewielką powagę posiadałyby w naszych oczach opinje św. Zyty o elektromagnetyźmie, albo wiadomości mikrobiologiczne św. Izydora. Pod jednym względem wszakże sądy tudzież wskazówki, głoszone przez świętych, dają rękojmię całkowitą: mogą być praktyczne albo niepraktyczne, być wytworem umysłu mędrca albo prostaczka—ale napewno wypływać będą z ducha miłosierdzia nie okrucieństwa, dobroci chrześcijańskiej nie złośliwości, zalecać sprawiedliwość, nie krzywdę czyjąkolwiek. To wynika poprostu *ex definitione*, z istoty świętości. A cóż rzec dopiero o św. Tomaszu z Akwinu, tym najdoskonalszym wzorze chrześcijańskiej *charitatis*, tym, który wśród zastępu teologów-myślicieli zasłużył sobie na przydomek: Doktór Anielski?

O tem właśnie nie trzeba zapominać, zastanawiając się — między innemi — nad wskazaniem, jakie *Doctor Angelicus* udziela w liście do księżnej Alicji Brabanckiej „O sposobie rządzenia żydami” (r. 1252):

„...żydzi obojej płci, w każdym kraju chrześcijańskim i po wszystkie czasy, powinni się wyróżniać od innych pewną częścią ubrania. Toż samo nakazuje im ich własne prawo, a mianowicie nosić frendzle na czterech rogach ich płaszczów, aby się odróżniali od innych narodów“.

— — — — — — — — — — — —

W pamięci staje mi dziś ten dobrotliwy program Doktora Anielskiego, który rozwiązanie sprawy żydowskiej osiągnąć pragnął nie przez pogromy, nie przez niszczenie narodowej odrębności żydów, nawet nie przez przymusowe ich wysiedlanie, — ale przez łagodności pełne o d d z i e l e n i e, wyodrębnienie ich z pośród społeczeństw chrześcijańskich. Czyż nie ta sama myśl dyktowała mądre decyzje władz akademickich niektórych wyższych uczelni, kiedy chroniczny już, a coraz groźniejszy stan wrzenia, wynikający z tarć między studjującą wspólnie młodzieżą polską i żydowską, nader skutecznie uśmierzono przez zarządzenie, wyznaczające osobne miejsca w salach wykładowych: dla żydów i dla pozostałych studentów?

Nie tamowano nikomu dostępu do źródeł wiedzy: nie zostawiono żydom miejsc gorszych, ani w niedostatecznej ilości, przeciwnie, ułatwiono im nawet studja przez usunięcie dystrakcji, jaką, z natury rzeczy, jest sąsiedztwo ludzi obcych, sąsiedztwo zawsze krępujące i narażające na zatargi. Nie mogąc—dzisiaj jeszcze—ulokować żydów z Polski w państwie żydowskiem, usiłujemy dać im przynajmniej surogat bytu normalnego, jakim jest życie i praca we własnem środowisku, pod własnem imieniem i na rachunek własnej cywilizacji.

Drobna reforma: „rozsadzenie” żydów i nieżydów w salach szkolnych, a—gdyby uznać ją za powszechnie obowiązującą zasadę—w jak wielkiej mierze usuniętoby dzisiejszy stan zaognienia, iluż konfliktów unikniętoby niemiłych i niepotrzebnych! Wskażę na jeden tylko przykład: Wiemy jak denerwująco oddziaływa na Polaków, jak gniewa ich, kiedy autor żydowski zechce nas oduczać patrjotyzmu, gdy np. radzi rekrutowi polskiemu, by na wieść o wybuchu wojny „rżnął karabinem w bruk ulicy” itp. Jakże mało drażniące byłyby takie wezwania, gdyby pisarze, jak słuchacze na wszechnicach, byli—w sposób rygorystyczny—„porozsadzani”: polscy literaci w czasopismach i organizacjach polskich, żydowscy w żydowskich, gdyby wiadome było, kto do kogo mówi, z jakiej trybuny, czyim jest przedstawicielem... I jak rozwinęłyby się talenty twórców żydowskich, gdyby nie zadawali sobie gwałtu, skrępowani, jak noga Chinki, chęcią dostosowania się do gustów obcego społeczeństwa, przebierania się w cudze, jakże śmiesznie na nich wyglądające, nie na ich przecież miarę szyte kostjumy!

Niech też nikt nie występuje tu z argumentem—przekonywającym, być może, dla „postępowych” półinteligentów z przed lat trzydziestu — że nienawiść rodzi się z oddalenia, więc „przemieszanie“ żywiołu polskiego z żydowskim musi w wyniku doprowadzić do sielanki, zgodności we wszystkich sprawach itd. Tylko zbliżenie się przeciwnych elementów wywołuje wybuch, izolacja od niego zabezpiecza. Murzyni, eskimosi — tak dalecy—nie budzą w sercach naszych uczuć nieżyczliwych, są dla nas, w najgorszym razie, obojętni; bliskość zetknięcia się z żydostwem, Niemcami, Rosją nie zapobiegła ani wrogości obustronnej, ani walce. Co więcej, dziś kiedy styczność z Moskalami i Niemcami jest — po odbudowaniu Państwa Polskiego—z natury rzeczy znacznie mniej bezpośrednia niż poprzednio, dawna nienawiść szybko nader ustępuje miejsca sentymentom bardziej przyjaznym, normalniejszym.

Utalentowany pisarz żydowski, p. Antoni Słonimski w świetnie redagowanym tygodniku żydowskim „Wiadomości Literackie” (nr. 1 z dnia 5 stycznia r. b.) uznaje częściowo słuszność rozwijanej tutaj tezy, uzasadnia ją nawet przezabawnie groteskowem porównaniem, iż żydzi i Polacy w Polsce przypominają mu jakgdyby źle dobraną parę małżeńską(!!): „Ale jakie jest wyjście z tej sytuacji? Jaką można dać radę rozsądną? W niedobranem małżeństwie, gdy ludzie nie mogą się rozejść, muszą się starać zorganizować swe życie możliwie najznośniej... W ź l e d o b r a n e m m a ł ż e ń s t w i e l e p i e j a b y m ą ż z ż o n ą j a k n a j m n i e j s i ę w i d y w a l i. I tu m o ż n a b y z m n i e j s z y ć p ł a s z c z y z n ę z e t k n i ę ć”... itd.

Zaraz w następnych zdaniach autor żydowski protestuje wprawdzie przeciw „rozsadzaniu osobno studentów”, zaś w sprawie rzadszego widywania się „małżonków“(!) dodaje: „M u s i w y n i k a ć t o z t a k t u, a nie z przepisów policyjnych...” Niewątpliwie, taki stan rzeczy byłby i najsympatyczniej-

szy i najwygodniejszy, niestety jednak, nie żyjemy dziś w Owidjuszowskim „wieku złotym", kiedy to ludzie *„sponte sua, sine lege fidem rectumque colebant..."* Nie wszyscy są dostatecznie taktowni, tak jak nie wszyscy np. szanują cudzą własność jedynie z wewnętrznego poczucia słuszności, dlatego też, obok czynnika rozsądnej perswazji, konieczny jest również, w miarę i inteligentnie stosowany, czynnik fizycznego już czysto przymusu. *Et haec facienda et illa non omittenda*... Dużo jest pola dla „lepszych żywiołów z pośród narodów, które ze sobą współżyją", dla „ludzi nie poddających się namiętnościom", którzy w miarę swych sił i każdy we właściwym sobie zakresie, pracować zechcą, aby „zmniejszyć płaszczyznę zetknięć..."

JAN REMBIELIŃSKI

SPRAWY WIEJSKIE

Z pewnem opóźnieniem (za które przepraszamy autora) podajemy poniżej list p. Józefa Świeżyńskiego, ziemianina, b. premjera, b. prezes Macierzy Szkolnej. Jest to dalszy ciąg dyskusji, przerwanej w nr. 50 z r. ub. Miarą żywotności poruszanych w tej rozmowie zagadnień jest zainteresowania, jakie ona budzi w społeczeństwie.

ARTYKUŁY (w nr. 44 i 46 „Myśli Narod." z r. ub.) K. S. Frycza p. t. „Wiejskie problemy" i replika ks. prałata Krysiaka poruszają zagadnienia dużej wagi społeczno-narodowej. W obu tych artykułach wyczuwać się daje głęboka troska o przyszłość wsi polskiej, która, według słusznego sądu p. Frycza, jak po staremu była, tak i będzie kluczem do zagadnień Polski. Wieś potrzebuje drogowskazu, autorytetu, kierownictwa, a pytanie, kto się tem władztwem dusz chłopskich zajmować będzie i winien, stanowi treść doskonałego artykułu Karola Stefana Frycza.

Pan Frycz, patrzący na wieś z okien dworu i, replikujący mu, ks. prałat Krysiak, spozierający na wieś z okna chaty wiejskiej, nie są w stanie uniknąć pewnego klasowego zabarwienia w ocenie doniosłych zjawisk, które roztrząsają.

Argumenty jednej i drugiej strony wydają mi się nie umotywowane dostatecznie, a co gorsza — osłabiają niepotrzebnie myśl i zamierzenia artykułu p. Frycza.

Kwestja powołania kapłańskiego czy powołania do innych zawodów jest burdzo skomplikowana, bo w wyborze fachu sprawa zdobycia kawałka chleba musi odgrywać jeśli nie pierwszorzędną, to bardzo poważną rolę. Modląc się codziennie do Boga o chleb nasz powszedni, nie karjerę mamy na myśli, ksiądz zaś, lekarz czy rolnik, gdy spełniają sumiennie swe względem Boga i ludzi obowiązki, nie mogą być posądzani o to, że fach swój obrali dla karjery. Trudno godzić się na to, by nazywano karjerą, gdy ksiądz wyniesiony zostaje do godności biskupiej, a lekarz powołany na katedrę uniwersytecką dla ich zasług ogólnoludzkich, społecznych i naukowych. Można więc *propter Jesum* i *propter esum* iść do seminarjum, a myśl o Bogu i chlebie powszednim jednocześnie w niczem powołaniu nie uchybia.

Nie znam Podlasia, ale znam dobrze kraju szmat spory i muszę wystąpić w obronie matek i ojców ze dworów. Nigdzie nie widziałem, by ziemianki słuchały nabożeństwa tylko przez radjo, a ojcowie spędzali święta i niedziele tylko przy zielonym stoliku i na polowaniu. Sąd taki krzywdzi ziemianki, krzywdzi żony, siostry i córki nasze, bo w ogromnej większości spełniają one swe obowiązki względem Boga tak, jak to przystoi Polce obywatelce. Wyjątki mogą się zdarzać wszędzie, ale robić z wyjątków reguły nie można i nie należy.

Przechodzę jednak nad obroną ziemiańswa do porządku, bo głównym celem jest przedyskutowanie i rozpropagowanie myśli, rzuconych przez Karola Stefana Frycza. Autorytet na wsi polskiej jest niezbędny, bardziej nawet potrzebny teraz, w dobie odradzania się niepodległego państwa Polskiego, bo ciężkie warunki życia, poważna troska o suchy chleb powszedni na wsi, sprzyjają szerzeniu idej wywrotowych, zgubnych dla wsi i dla państwa. Do odgrywania tej dobrze pojętej, a tak szczytnej roli starszego brata i opiekuna na wsi naszej wciągać się winni ci wszyscy, którzy dzięki szczęśliwemu losowi i warunkom, dzięki wychowaniu i nabytemu wykształceniu, stoją na wyższym poziomie umysłowym i moralnym, ci wszyscy, którzy rozumieją, że obywatelstwo odrodzonego i wolnego państwa polskiego to wielki przywilej, pociągający za sobą poważne obowiązki.

Nie chcę więc roztrząsać pytania, kto do tego władztwa dusz na wsi ma prawo — ziemianin, ksiądz czy nauczyciel, a odpowiem wprost, że ziemianin, ksiądz i nauczyciel stawać powinni do wyścigu, by ten jaknajszlachetniej pojęty autorytet zdobywać.

Czy ziemiaństwo odzyska swe przez wieki kierownicze znaczenie w narodzie, tego przesądzaćbym nie chciał. Obawiałbym się nawet takich horoskopów chociażby dlatego, że pojęcie kierownictwa w narodzie rozumieć można jako dążenie do sprawowania przez tę warstwę władzy w państwie, zaś aspiracje tego rodzaju uważałbym za niebezpieczne, szkodliwe i zresztą nieziszczalne.

Nie o kierownicze znaczenie w narodzie, ale o równoprawne obywatelstwo ziemiaństwo starać się musi i w tym celu właśnie stawać winno do wyścigu, by nie dać się spychać i zepchnąć do stanowiska obywateli drugiego czy trzeciego rzędu, dokąd zepchać je pragną ludzie nie patrzący dalej końca swego własnego nosa. Słusznie pan Frycz pisze, że ziemianin nie może powoływać się na dawne przodków zasługi, ale musi i własne wnosić do kapitału dobra narodowego, słusznie pisze dalej, że sygnet szlachecki jest, jak ślubna obrączka, symbolem obowiązków, a nie ozdobą palca. Musi więc ziemiaństwo na nowo zdobywać nolilitację nie mieczem ani zbroją, ale sumienną pracą obywatelską na warsztacie własnym, z myślą o braci młodszej, musi świecić jej przykładem, służyć pomocą i radą, zdóbywając w ten sposób uznanie i autorytet na wsi.

Sądzę przytem, że znajdzie się sprawiedliwych dużo więcej, aniżeli dziesięciu, w tej tak zwanej przez pana Frycza dzisiejszej „Sodomie ziemiańskiej", a sprawiedliwi ci uratują upadający autorytet obywatela ziemianina i wywalczą równe prawa obywatelskie dla wszystkich tych, co zdają sobie sprawę z przywilejów, ale i z obowiązków, wypływających z godności obywatelstwa polskiego.

Autorytet księdza na wsi podupadł również, a da się to w pewnej mierze wytłumaczyć spuści-

zną po wojnie światowej, bo poderwała ona dużo zasad i wierzeń, stawiając na ich miejsce wiarę w powodzenie siły brutalnej i panowanie siły nad prawem. Pozatem jednak pamiętać należy, że ciężkie warunki bytu duchowieństwa w czasach niewoli, utrzymywane z biedą seminarja duchowne, nieodpowiedni dobór biskupów i demoralizujący wpływ władz zaborczych utrudniały wykształcenie księdza i wyrobienie go na obywatela oddanego Bogu i ludziom, a stąd i upadek jego znaczenia na wsi.

Dziś, gdy od daty naszej niepodległości możemy mieć seminarja, przesiąknięte nawskróś duchem polskim i katolickim, gdy poziom wykształcenia i wymagań stawianych klerykowi podniósł się znakomicie, gdy mamy albo mieć będziemy Pasterzy, nie przesianych przez sito rządów zaborczych, znaczenie księdza urośnie i zyska on na wsi autorytet napewno, bo widzimy przecież, że w parafjach, gdzie są księża nieprzeciętni, tam znaczenie ich i wpływ stoją bardzo wysoko.

Bardzo dużo ma nauczyciel wiejski warunków potemu, by oddziaływać na lud, zyskać jego zaufanie i zawładnąć duszami chłopskiemi, a jeżeli tego zaufania nie zyskuje to dla następujących powodów. Często szczyci się on z tego, że w Boga nie wierzy, księży chętnie obmawia, obowiązków religijnych nie pełni, a stąd przykładem swym gorszy dzieci i zraża sobie głęboko wierzących rodziców. Zwolennik haseł radykalnych, szczepi on dzieciom i otoczeniu zarazek nienawiści klasowej. Używany jest przez władze administracyjne do roboty politycznej, co w dużym stopniu przysparza mu wrogów i podkopuje jego znaczenie na wsi. A szkoda wielka, że tak jest, boć przecież od nauczyciela w dużej mierze zależy rozwój naszych młodych pokoleń, tej podstawy zdrowego i silnego państwa.

JÓZEF ŚWIEŻYŃSKI

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Państwowa nagroda literacka za rok ubiegły (5000 zł) jednomyślną uchwałą *jury* przyznana została p. Zofji Nałkowskiej, członkini Akademji Literatury, znanej powieściopisarce i autorce dzieł dramatycznych.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Pamiętnika Literackiego", kwartalnika, wydawanego we Lwowie, przez Tow. Literackie im. Mickiewicza wyszedł akuratnie zesz. 3—4 za r. 1935 (tom 32-i). Zeszyty te obejmują str. 285-668 oprócz spisu rzeczy. Jest to więc tom olbrzymi na pięknym papierze drukowany. Z ważniejszych prac w ostatnim zeszycie na uwagę zasługuje rozprawa Albińskiego M. „Analiza uczuć w Cydzie Corneille'a", Erlachera Z. „Pan Jowialski jako komedja antyromantyczna" Freia Alfreda „Kochanowski polski i łaciński", Krzyżanowskiego J. „Z marginaljów średniowiecznych", Łempickiej J. „Do rodowodów postaci w Panu Tadeuszu", Moraczewskiego Wacława „Nieboska Komedja", Kostruby P. „Wernyhora". Mikulskiego T. „Osieł Lucjuszów", Birkenmajera Józefa „Z nieznanych autografów Sienkiewicza" i wielu innych. Pozatem bogaty dział recenzyj.

W recenzjach wiele miejsca zajmuje filipika St. Cywińskiego przeciwko „Norwidowi" Z. Wasilewskiego, powtarzająca wkółko zarzuty zawarte w osobnej broszurze tegoż autora i siedmiu artykułach po czasopismach. Do cięższych dowodów nienaukowości pracy o Norwidzie należy oczywiście owa litera M. przy nazwisku Genjusza. Cywiński upiera się, że powinna być E, bo tak stało w „Chimerze". Daremnie wyjaśniało mu się w „Myśli Narodowej" (nr. 37 z 1935 r.), że lit. E jest literą drugiego imienia Mieczysława, że nie mógł do „Chimery" w 1904 r. pisać ojciec, który zmarł w latach 60-ych ub. wieku. Powtarza to samo z tą zmianą, że zamiast Eugenjusza, jak dawniej, nadaje ojcu imię *Etienne* (Stefan). Niechby zajrzał do „Ateneum Polskiego" gdzie jest dokument, zresztą, do Bibl. Publicznej, gdzie są kopje tych listów. W sprawie poglądów na filozofję Norwida Cywiński przeciwstawia Wasilewskiego Arcimowiczowi, gdy w rzeczywistości obaj ci autorzy są zgodni.

Do bardzo interesującej pracy Kostruby o Wernyhorze należałoby dodać, co autor przeoczył, że na ten temat pisał L. Siemieński „Trzy wieszczby" (Paryż 1841), gdzie podał w przypisach źródła, i że S. Goszczyński w recenzji o tych „Wieszczbach" (Demokrata Polski" Paryż 1841) robi wyznania, których brak w pamiętniku jego, przez Kostrubę cytowanym.

(W)

*

„Młodości, ty nad poziomy wylatuj!" — wołał Mickiewicz, wzywając pokolenie swoje, by „ludzkości całe ogromy" przeniknęło z „końca do końca". Naprzekór racjonalistycznym sprzeciwom ludzi „trzeźwych" z przed wieku, dziś hasło poety można rozumieć — dosłownie. Możemy dziś, dzięki rozwiniętemu lotnictwu, wylatywać nad poziomy i ogarniać światy wzrokiem. A jeżeli kto, to właśnie rodacy Mickiewicza mogą to o sobie mówić. Nasze triumfy lotnicze dały o nas naprawdę znać światu. To też i literatura lotnicza rozwija się u nas bujnie, a trzeba przyznać, że coraz to lepiej; i tu widocznie, w dziedzinie literackiej, udoskonala się technika, wyostrza się spojrzenie i usprawnia się zręczność. Nasi lotnicy nieraz bywają już wcle tęgimi pisarzami, zdolnymi zaciekawić młodych i starych. Po Meissnerze, który już ma wyrobione nazwisko i cieszy się wśród młodzieży tą mniejwięcej poczytnością, jaką niegdyś, w epoce niewoli, miał Walery Przyborowski czy Wł. Umiński, i po Orlińskim wziął się do pióra Stanisław Karpiński. Jego Książka „Polskie skrzydła w moich lotach długodystansowych" (Książnica — Atlas, Lwów — Warszawa), napisana bezpretensjonalnie, poprostu, a żywo, zatrącająca zdrowym żołnierskim humorem, dyszy ponadto gorącem uczuciem patrjotycznem i obywatelskiem. Autor nie przechwala się nigdy swemi imponującemi czynami: zdaje tylko z nich raport rzeczowy; natomiast chwałę Ojczyzny głosi z przejęciem, radując się każdą okazją propagandy dobrego imienia polskiego zagranicą. Uroku dodaje książce egzotyzm tła: Stambuł, Bagdad, Teheran, Herat, Kabul... Zdaje się nam, że przeżywamy na jawie jedną z baśni tysiąca i jednej nocy — tylko zamiast latającego dywanu czy czarodziejskiego konia skrzydlatego mamy tu płaty polskiego samolotu i silny polski motor. Autor rozrzucił mnóstwo migawek z życia kraju, w których gościł, uwiecznił też na swym aparacie niejedną scenę. Dzięki temu wszystkiemu książka jest naprawdę miła i ponętna. (J. B.)

*

„Są rozmaite Don Żuany i Don Kiszoty" — taki to głęboki aksjomat wypowiada jeden z bohaterów w „Obłomowie" Gonczarowa. Możemy łatwo znaleźć dowody prawdziwości tego powiedzenia — nawet w literaturze i w przekładach. Oto właśnie ukazały się dwa tłumaczenia nieśmiertelnego „Don Kiszota", opracowane dla młodzieży. Jedno z nich, Ewy Korotyńskiej, mało właściwie ma wspólnego z dziełem Cervantesa; są to tylko motywy „Don Kiszota", opowiedziane swojemi słowami przez polską autorkę. Natomiast Edward Boyé dał przekład wierny, oddający i treścią i tonem i poziomem artystycznym istotę oryginału. Szkoda tylko, że wiele najkapitalniejszych rozdziałów musiało ulec wyrzuceniu — bądź dlatego że trochę gorszyć mogły młodzież, bądź mniej były zrozumiałe dla dzisiejszych czytelników, bądź wreszcie powiększały zbytnio rozmiar książki. Ten to był powód, że nie doszło w całości do skutku ozdobne wydanie, podjęte przez firmę Mostkowicza. Obecne wydanie (Książnica—Atlas) różni się od poprzedniego i szatą zewnętrzną. Zamiast drzeworytów Mrożewskiego dano znane ilustracje Dorégo, niestety wskutek zbytniego pozmniejszenia czasem mało wyraźne, jednakże i tak pociągające wzrok czytelnika. Całość przekładu, jak i komentarze tłumacza, czyta się gładko i przyjemnie, a niejedno trafne powiedzenie czy zwrot szczególny pozostają na dłużej w pamięci. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Niezwykłą książkę pod również niezwykłym tytułem „*Les Universaux*" wydał świeżo u Grasset'a Leon Daudet. O tem, co wyraża ów oryginalny tytuł, sam autor powiada w ten sposób: „*les universaux* są to promienie albo drgania niewidzialne, nie materjalne lecz duchowe, które przebiegają rodzaj ludzki i określają kierunek jednostek oraz mas. Są

one wypełnione życiem, myślą i wzruszeniem, nieskończenie szybsze od światła, sposób zaś ich rozchodzenia się jest nam nieznany. Są one ukryte, lecz dowiadujemy się o nich za sprawą ich skutków, któremi są odkrycia, wytwory nauki, polityki, literatury, migracje, wojny, i wogóle wszystkie przejawy zbiorowe bytu..."

Odpowiadałyby więc owe „uniwersalja" poprostu temu, co w dziedzinie uczuć i myśli ludzkich nazywamy „prądem", „ruchem" i t. p. Jest to jednak niezupełnie to samo, gdyż „uniwersalja" są to przyczyny zmian, jakie zachodzą wśród ludzkości, istniejące także poza nami. Oprócz bowiem promieni, emanujących z istoty ludzkiej, istnieją jeszcze inne, których źródłem są siły natury — ziemskie, astralne i międzyastralne.

Dzisiaj znane są nam fale świetlne, dźwiękowe, magnetyczne i t. p. (Milikan odkrył nadto promienie kosmiczne). Otóż—powiada D.—dlaczegóżby nie miały istnieć fale myśli i wzruszeń, przenoszące się z szybkością oraz mocą zbiorową wielkiego napięcia i wywołujące wielkie zjawiska, wielkie odkrycia i wielkie wstrząśnienia polityczne.

Myśl o tego rodzaju promieniach, rodzących „Uniwersalja" — nasunęła się Daudet'owi, gdy rozważał wypadki historji nowożytnej (Renesans, Reformacja, Rewolucja itp.) i konfrontował je z wypadkami współczesnemi, takiemi jak maszynizm, faszyzm włoski, nowa Reformacja niemiecka, komunizm rosyjski, etc... Książka pełna niepospolitych uogólnień, świetnych myśli, otwierająca nowe widoki na życie zbiorowe ludzkości. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

75-LECIE ZACHĘTY

TEGOROCZNY Salon Zachęty jest jubileuszowym, gdyż przypada w 75-lecie istnienia instytucji. Jako typ wystawy, nie odbiega od poprzednich, dobrze nam znanych, możnaby mówić tylko o pewnej różnicy poziomu. Ponieważ nieznaczne jego odchylenia istoty rzeczy, t. zn. polityki artystycznej instytucji, nie zmieniają — pomówmy lepiej o dorobku 75-letniego żywota Zachęty.

Założona jako Towarzystwo, rozpoczyna swą działalność w 1860 roku. Incjatorami są Wojciech Gerson i Alfred Schouppé.

Pomimo działalności twórczej poszczególnych wybitniejszych jednostek, tętno życia artystycznego było naogół w owych czasach słabe i nowa placówka, wraz z warszawską Szkołą Sztuk Pięknych (gdzie wykładał Piwarski) i Krakowskim Wydziałem Szt. Piękn. znacznie do jego ożywienia się przyczyniła. Za cel postawiła sobie dwojakie zadanie: szerzenia miłośnictwa do sztuk plastycznych wśród ogółu i czynną pomoc artystom. Urządzała wystawy, zapoczątkowała również zbiory muzealne, których zalążkiem stał się „Zgon Barbary" J. Simmlera. Pośpieszyli też z darami liczni ofiarodawcy: Kazimirz Podhorski, Kazimierz Przyszychowski, Leopold Burczak Abramowicz, Adolf Kurtz, St. Kostrowicki, Alfred Schouppé i później wielu innych. Założona w czasach panowania zaborcy, nowa instytucja mogła się uważać słusznie za bastjon polskości, taką też była jej rola, nader pożyteczna dla podtrzymania i szerzenia kultury ojczystej, nad którą szczerej opieki od Rosjan trudno się było spodziewać. Społeczeństwo polskie rozumiało znaczenie tej placówki i obdarzało ją swem pełnem zaufaniem, które — naszem zdaniem — stało się najcenniejszym atutem Zachęty w jej możliwościach pedagogiczno - wychowawczych, jakie przed nią się rysowały. (Zobaczymy później, czy Zachęta umiało należycie wykorzystać ten kredyt społecznego zaufania i operować nim zawsze z korzyścią dla kultury).

Podczas długiego istnienia Zachęty gościły w jej salach wystawy chyba wszystkich najwybitniejszych plastyków polskich i już sam fakt pośredniczenia między nimi i publicznością daje instytucji tytuł do niemałej zasługi. Miłośnikom, według statutu, przysługiwało, wespół z artystami, prawo rządzenia instytucją i choć, nie uczestnicząc w *jury*, bezpośredniego wpływu na skład wystaw nie wywierali, tem nie mniej opinje ich nieraz odgrywały rolę decydującą, chociaż w sposób pośredni. Dała im ten przywilej (czy słusznie?) możność wybierania artystów do *jury* wedle swego uznania. Zobaczmy jakie ten zwyczaj, w przepisach życia wewnętrznego Zachęty, dał rezultaty? Sama idea wciągnięcia miłośników do współpracy dla dobra sztuki jest pomysłem udatnym, a fakt ich bezinteresownego i nieraz ofiarnego trudu objawem nad wyraz dodatnim. Niestety, dobra wola tych jednostek nie zawsze szła w parze z ich wyrobieniem w zakresie kultury plastycznej. Dano im jednak możność decydowania, również w sprawach wyłącznie artystycznych, dlaczego więc z tej okazji nie skorzystać?

Gdy nieorjentujące się grono miłośników obdarzyło zaufaniem jakiegoś artystę, który na to wcale nie zasługiwał, ten wchodził do zarządu, lub *jury*. Będąc artystą b. miernym, obniżał poziom wystaw, uczestnicząc w nich; mało tego — logicznie rozumując, nie mógł teraz, jako sędzia, odrzucać równie złych, a czasem i nieco lepszych prac swoich kolegów malarzy, chociażby one także nie dorastały do poziomu poważnej wystawy. Tak jeden błąd pociąga za sobą inne.

Drugim grzechem Zachęty, płodnym w szkodliwe dla spraw kultury następstwa, stało się zatracenie równowagi między dwoma naczelnemi zadaniami instytucji: pomocy artystom i służenia kulturze. Cele tych obu zadań mogą się z sobą pokrywać, ale mogą też i sobie przeczyć. Nie trzeba dodawać, iż najszczęśliwszy rezultat otrzymujemy w pierwszym wypadku. Rozpatrzmy tu jednak pokrótce oba:

1) Utalentowany artysta nadsyła na wystawę dobry obraz, lub rzeźbę. Instytucja, spełniając rolę pośrednika, prezentuje to dzieło publiczności. Pomogła w ten sposób artyście, przysłużyła się też sprawie kultury, kształcąc smak szerokich sfer publiczności pokazaniem utworu prawdziwie artystycznego. Wszyscy są zadowoleni, bo wszyscy w tym wypadku odnieśli korzyść: artysta, publiczność i sztuka.

2) Kiepski artysta nadsyła, jak to się mówi, „kicz". Instytucja, pragnąc przyjść z pomocą artyście, przyjmuje obraz i wystawia. Świetnie — powiada bardziej uświadomiona część publiczności— ale co nas to obchodzi! Współczujemy artyście, jeśli źle mu się powodzi, ale zarazem pragniemy oglądać dobre, a nie złe wystawy. Nie mamy nic przeciw udzielaniu pomocy materjalnej tym, którzy jej potrzebują, ale sprzeciwiamy się propagowaniu złej sztuki.

Mniej zaś uświadomieni zwiedzający, a tych jest większość, przyjmują potulnie i za dobrą monetę to, czem ich się częstuje, deprawując w ten sposób swój smak. Zyskuje zły artysta (bezwątpienia), ale traci publiczność, której kulturę obniża się tak postępując, traci też w rezultacie sztuka.

Rozumiemy trudność całkowicie pomyślnego rozwiązania tego zagadnienia, zdajemy sobie sprawę, iż przerasta ono bodaj możliwości Zachęty,

boć i przez państwo nie zostało dotąd należycie rozwiązane. Bezrobotny artysta np. zasługuje na taką samą opiekę jak inni obywatele, potrzebujący materjalnej pomocy, ale trzeba sobie uświadomić zarazem, że popierając w potrzebie złego artystę popiera się jednocześnie jego szkodnictwo artystyczne. Znana nam jest szeroka działalność filantropijna Zachęty, zbudowani nawet bylibyśmy tą obfitością tak ludzkich uczuć, gdyby nie to, że okazując tyle serca zgrupowanym wokół niej artystom, niestety nie okazała go w równej mierze sprawom samej sztuki.

Zdaniem niektórych krytyków, najwięcej zaszkodził Zachęcie jej dyletantyzm. My zasadniczą przyczynę zła upatrujemy w czem innem. Uczestnictwo w rozmaitych *jury*, także i (kiedyś) w *jury* Zachęty, przekonało nas, iż niema tak złego artysty, któryby nie orjentował się w prawdziwej wartości kwalifikowanych przez siebie do wystawienia dzieł. Jeśli więc wydaje sąd, nie pokrywający się z istotnym stanem rzeczy, to dla innych, nie artystycznych względów. Względy te, często najrozmaitszej natury, od których nie jest wolna całkowicie żadna z instytucyj wystawowych, zbyt zaciążyły na polityce artystycznej Zachęty. Wytworzona podobnem postępowaniem atmosfera nie sprzyja bynajmniej uzdrowieniu stosunków, na młodzież, zaś uczestniczącą stale w wystawach Zachęty, działa demoralizująco. Przypieczętowaniem stanu rzeczy stają się fakty nagradzania artystów, którzy z najmniejszych powodów na to nie zasługują, jak np. na ostatnim salonie — Adama Styki, za całą działalność artystyczną (!!!) Czy Zachęta zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest demoralizujące podobne wyróżnienie?...

Pozbawiona teraz, w czasach niepodległości, uprzedniego znaczenia, cieszy się wciąż jeszcze Zachęta mirem u szerokich sfer mieszczaństwa warszawskiego, u sfer, które wychowania artystycznego potrzebują. Jeśli jej gospodarze uwzględnią głosy życzliwej krytyki i wyciągną z nich odpowiednie wnioski, rola Zachęty będzie równie ważka, choć inna, i teraźniejszość nie przekreśli chlubnej przeszłości.

WIKTOR PODOSKI

FILM

ŚWIATOWID: „Peter Ibbetson", reż. Hathaway, film amerykański.

Gdyby komuś z nas co noc śniło się, że jest królem i każdy taki sen był dalszym ciągiem poprzedniego, człowiek miałby właściwie dwa życia (wspomina o tem Pascal) i żadne z nich nie byłoby mniej lub bardziej prawdziwe od drugiego. Ta teorja właśnie jest sensem ostatecznym inteligentnego i nie pozbawionego wymowy poetyckiej filmu p. t. „Peter Ibbetson". Film składa się z kilku części, jakby tomów — zresztą scenarjusz przerobiony został z powieści — i każda część ilustruje inny okres życia tytułowej postaci. Ostatnia ma za treść, wspomniane na początku, podwójne życie.

Typ utworu, który opowiada czyjeś całe życie, od dzieciństwa aż do zgonu, został stosunkowo niedawno wprowadzony do filmów amerykańskich i bezwątpienia pod wpływem Europy. Zamknięcie takiej opowieści w ramach niespełna dwugodzinnego seansu wymaga stosowania silnych skrótów, innej metody artystycznej w rysowaniu całości. Ponieważ nie można opowiedzieć wszystkiego, trzeba wybierać; oddzielne scenki, tylko takie, z których każda dorzuca jakiś szczegół charakterystyczny, istotny dla sensu utworu, składają się na pełny obraz filmowego malowidła.

W pierwszej części mamy sceny z dzieciństwa. Mały Anglik, sierota, mieszka w Paryżu i wychowuje się razem ze swą rówieśniczką. Ta przyjaźń z lat dziecinnych zadecydowała o jego życiu. W drugiej części zastajemy już go jako młodego, uzdolnionego architekta w Anglji. Poważnemu młodzieńcowi obce są wszelkie uciechy młodości. Gdy wreszcie odnajduje towarzyszkę zabaw dziecięcych, o której nie mógł zapomnieć, jest już zapóźno: Mary wyszła zamąż za bogatego i starszego od siebie ziemianina. Nie będziemy opisywali szeregu dalszych scen, z najmocniejszą bezwątpienia i najsubtelniej przeprowadzoną sceną przy stole, gdy mąż dekonspiruje uczucia obojga młodych i słabą, melodramatyczną sceną w sypialni, — dość, że stary lord-małżonek ginie, a Peter, podejrzane o jego zabójstwo (świadkowi-wdowie sąd nie daje wiary), zostaje skazany na dożywotnie więzienie. I teraz właśnie rozpoczynają się misterja miłości. Nieczuły, zobojętniały na wszystko Peter, leży na barłogu więziennym. Ale w półśnie, lub w gorączce (choruje) ukochana schodzi do niego. Opuszczają mury więzienne i zatopieni w sobie wędrują przez pola, góry, przez kwietne łąki, zaczarowane ogrody, siebie tylko widzący, szczęśliwi. I tak co noc: ciało biednego Petera zostaje w celi, ale duch jego opuszcza ją.

Tę dwoistość, jako temat jakby specjalnie stworzoną dla jej uzmysłowienia bogatemi możliwościami filmu, oddano tu w wizji, posiadającej niedwuznaczne akcenty poetyckie, a zarazem i wartości plastyczne, filmowe. To wrażenie chwiejby między ułudą, a rzeczywistością, wrażenie huśtawki na pograniczu dwu światów, spotęgowane jest jeszcze odwróceniem znaczenia zwykłej symboliki filmowej. Na filmie wspomnienie, wizja, ułuda i t. p. bywają zaznaczane mglistością obrazu. Tu przeciwnie: majaczenia Petera mają pełnię plastyki. I widz, pomny na znajomą mu dotychczas, umowną symbolikę, przyjmuje sam w pierwszej chwili obraz marzeń za rzeczywistość. W ten sposób wkracza w świat obojga kochanków.

Trzy główne role zostały zagrane b. dobrze, niespodzianką jest znakomita gra, niezbyt u nas popularnego aktora, w roli męża; Anna Harding gra może nieco za chłodno ubóstwianą Petera, którego odtwarza Gary Cooper.

Reżyserja i fotografja na wysokim poziomie.

MAJESTIC: „Miłość w czołgu", film sowiecki.

Wolne tempo, które nas nieraz niecierpliwiło w poważnych filmach sowieckich, tu, w komedji, staje się już zgoła irytujące. Tembardziej, że i scenarjusz jest nader prostotliwy, żeby nie powiedzieć ubogi. Technika i gra artystów dobra. Dowcipnych pomysłów filmowych — skąpo. Może nas jedynie zainteresować nowy ton obyczajowy tego filmu, echo przemian, jakie się dokonały w Rosji Sowieckiej. Pełno tu amorów, wzdychań żołnierzy stacjonowanych w małem miasteczku do płci nadobnej (oj niebardzo!), wszyscy chcą wyglądać elegancko, czego się bynajmniej nie uważa za zamach na zdobycze rewolucji. Nawet wolno się kochać, oczywiście, po zdaniu egzaminu z techniki traktorów.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Makuszyński Kornel. Wielka brama. Warszawa, 1936. Pań. Wyd. Ks. szkolnych. Z ilustr.

Grabski W. J. Kłamstwo. Powieść. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha.

Rocznik Gdański. Organ Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Tom VII i VIII (1933—1934). Gdańsk, 1935. S. 461.

Krakowski Edouard. Adam Mickiewicz, philosophe mystique. Paris, 1935. Mercure de France. P. 325.

Małachowska Mira. Ksawery Pietraszkiewicz. Życie i myśli. W-wa, 1935. Str. 39.

Orkan Władysław. Listy ze wsi. 2 tomy. Warsz. (1935). Gebethner i Wolff.

Pobóg-Malinowski Władysław. Józef Piłsudski (1901—1908). W ogniu rewolucji. Warsz. (1935). Gebethner i Wolff. Str. 648.

Grzelka Józef. Kompozycja „Lilli Wenedy". Warsz. 1935. Nasza Księgarnia. Str. 115.

Kalendarz rycerza Niepokalanej na r. 1936. Niepokalanów (p. Teresin).

Krasuski Zbigniew. Obserwacje szarego człowieka. Warsz. 1935. Str. 30.

Stendig Samuel. Polska a Palestyna w dobie obecnej. Warsz. 1935. J. Neuman. Str. 47.

Stemler Józef. Dzieło samopomocy narodowej — Polska Macierz Szkolna 1905—1935. Z przedmową Wł. Sołtana. Warsz. 1935. Wydawn. Polsk. Macierzy Szkolnej. Str. 283.

Nie skąp pieniędzy na pracę narodową!

POKŁOSIE

BABSKI NARÓD

W TYCH DNIACH dzienniki warszawskie ogłosiły jednobrzmiący komunikat, oznajmiający, iż według spisu ludności, dokonanego w r. 1931, w Polsce wśród ludności katolickiej na 100 mężczyzn wypada 123 kobiety (pośród ewangelików 119 na 100, u żydów 113). Przypuszczam, że coniektóremu czytelnikowi tej notatki ciarki przeszły po skórze. W rzeczywistości jednak stosunek liczebny płci nie jest u nas tak jaskrawie nierówny. Prasa warszawska, zgodnie zresztą ze stałą tradycją lekceważenia liczby i miary, podała cyfry, odnoszące się do skupień wielkomiejskich (gdzie wskutek licznej służby domowej odsetek kobiet jest znacznie wyższy, niż w całym kraju), oraz do pewnej kategorji wieku, jako przeciętne dla ogółu ludności całej Polski. W Polsce mieliśmy w r. 1921 na 100 mężczyzn 106,9 kobiety, a od tego czasu nie było ani specjalnego urodzaju na płeć piękną, ani też epidemji, dziesiątkującej tylko brzydką, więc pewno i teraz stosunek ten jest podobny. W poszczególnych kategorjach wieku stosunek ten się zmienia i np. wśród ludności w wieku od 30 do 39 lat wypada na 100 mężczyzn aż 117 kobiet. Zjawisko to występuje u wszystkich narodów europejskich, silniej tylko u tych, które uczestniczyły w wojnie, a więc miały nienormalnie wysoki procent zgonów męskich. Wojna wciąż jeszcze oddziaływa na stosunki ludnościowe.

Tak tedy wrogowie kobiet mogą się uspokoić: nie jesteśmy statystycznie więcej babskim narodem, niż inne, ale swoją drogą te 123 kobiety na 100 mężczyzn w Warszawie powinny dać do myślenia i wyjaśnić wiele z dzisiejszych objawów społecznych i obyczajowych...

Statystycznie więc nie jesteśmy narodem babskim, ale czy tak jest również pod względem charakteru? Czy u nas męska połowa nie odznacza się właśnie cechami, jakie zwykliśmy nazywać babskiemi i odwrotnie, czy kobiety nie brylują zaletami, przypisywanemi prawdziwym mężom? Przy obserwowaniu naszego życia nieraz narzuca się wniosek, że role się pomieszały, tak dalece mężczyźni okazują się babami, a kobiety zuchami.

Jest tam jakaś legenda, zapisana u obcych, że na terytorjum dzisiejszej lubelszczyzny istniało w czasach przedhistorycznych państwo kobiece, sarmackich amazonek, w którem mężczyzni spełniali jedynie rolę trutniów w ulu, potomstwo męskie bywało zgładzane zaraz po urodzeniu, poza pewną liczbą owych trutniów. Nie dałbym głowy za to, czy ta legenda nie jest najautentyczniejszą historją. W każdym razie wyższe u nas, niż gdzieindziej, stanowisko kobiety w społeczeństwie nie ulega, zdaje się, wątpliwości. I nie jest to bynajmniej niezasłużone: na każdym kroku widzimy kobiety górujące charakterem.

Przodkowie nasi zwykli przytaczać jako wzory cnót wszelakich mężów starożytnych, szczególnie rzymskich, ale i tam nie brak przecież wspaniałych postaci kobiecych i właśnie Tacyt, kronikarz epoki upadku, nie może się obejść bez tego, żeby lichocie męskiej nie przeciwstawić tężyzny kobiecej.

Tak w „Rocznikach" (ks. XIV, r. LX) pisze, jak to małżonka Nerona, Oktawia, została fałszywie przez rywalkę Poppeję oskarżona o cudzołóstwo z Eucaerusem, Aleksandryjczykiem z rodu, grajkiem na fujarce uczonym. „Wzięto"— pisze — „o to służebne na pytki, a gdy przemocą katusz przemożone niektóre, iż zmyśleniom przyświadczyły, większość wytrwała w obronie paninej świątobliwości, z których jedna nastającemu Tigellinusowi odrzekła, że skromniejsza jest . . . . Oktawji, niż gęba jego". Tacyt nie podaje imienia tej bohaterskiej niewolnicy, a szkoda, bo jej okrzyk rzucony na torturach w twarz okrutnemu Tigellinowi, wart jest większej sławy, niż słówko Cambronne'a.

Opowiadając o spisku Pisona, Tacyt tak opisuje zachowanie się niejakiej Epicharis, zwykłej „wyzwolonki" (cytuję według tłumacza Wład. Okęckiego, wymagającego uważnego czytania): „A tymczasem Nero, przypomniawszy sobie, z Volusiusowej Proculusa wskazówki, że Epicharis pod kluczem, i mieniąc, że niewieście ciało nie sprosta bólom katuszy, rozszarpywać każe. Ale oną nie rózgi, nie ognie, nie złość tem zacieklej katujących, by od kobiety nie być za nic miani, zmogły, by zarzutom nie przeczyła. Tak pierwszy badania dzień sponieważon. Nazajutrz, gdy ją do tychże znów katusz ciągniono krześlnem nosidłem, bo rozwiedzionemi członki stąpnąć nie mogła, pętlę nałęczy, którą z piersi zdarła, na sposób stryczka do krześlnego pałąka dociągłszy, wetknęła łęk i cielesnego brzemienia wysiłkiem cienki już dech wycisła, świetniejszym wzorem wyzwolonka kobieta, w tak wielkiej potrzebie obcych i prawie nieznajomych słoniąc, gdy rodzime męże i szlachcice rzymskie i senatory, nie dotkłszy katuszy, każdy co sercu najdroższego, to zdradzał"...

Tak więc charakter kobiecy może się powołać na stare pergaminy, a skoro i w nowszych czasach nie zawodzi, więc nie obawiajmy się dużej liczby kobiet. Mają one, niech im Pan Bóg da zdrowie, swoje liczne wady, ale i charakterki mają. A czegóż nam dziś więcej, jak charakteru potrzeba?

ARGUS

NA MARGINESIE

Arja, ożeniony z semitką, ma w domu Salome, która w pewnej chwili zażąda głowy Jana Chrzciciela, a przynajmniej aresztowania jego zwolenników.

*

Pan profesor filozofji Kotarbiński jest wolnomyślicielem, ale w imię wolności wzywa (w „Kurjerze Porannym") policję, aby chroniła jego słuchaczy. Pozornie brak logiki temu pojmowaniu wolności. Tłumaczy profesora okoliczność, że słuchaczami jego są żydzi.

*

Jeżeli w Polsce filozofja potrzebna jest jedynie do uzasadniania filosemityzmu, to niech ją djabli wezmą.

*

„Nasz Przegląd" (z dn. 31.XII r. ub.) podaje obszerne sprawozdanie z procesu przeciw dwudziestoczteroletniemu Chaimowi Izaakowi Poznańskiemu, oskarżonemu, iż „jadąc tramwajem Nr. 4 ul. Nowiniarską, przepychając się wzdłuż wagonu splunął demonstracyjnie, krzycząc: „Pfu, Polonja"...

Poznański nie przyznał się do tego, iżby użył słów lżących Naród Polski i tłumaczył, że zaczepiony przez jednego z pasażerów, powiedział, po hebrajsku zresztą, do jadącego z nim razem kolegi: „Patrz co za wstrętni endecy w Polsce, pfu, ja nie chcę być z takim chuliganem w wagonie".

W każdym razie sytuacja staje się coraz jaśniejsza Chaim Izaak nie chce jeździć w jednym wagonie z Polakami, Polacy również nie mają ochoty mieć za towarzyszów w jednym wagonie Chaimów Izaaków. Najwłaściwiej będzie wprowadzić osobne wagony. Z powodzeniem używają tego systemu — w krajach gdzie zrodziła się, lub największy entuzjazm budzi idea Ligi Narodów — biali w stosunku do murzynów...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.